

# moja Lesznówola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 lipiec/sierpień 2018, nr 26/27





# Gmina w obiektywie

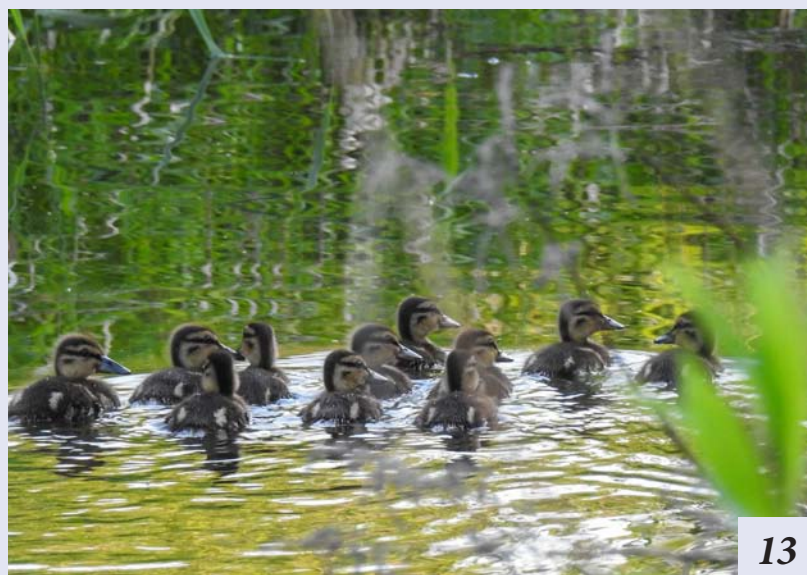
A photograph of a garden path lined with trees covered in ivy. The path leads into a dense forest. On the right side, there is a wooden birdhouse with a circular entrance hole. The scene is very green and lush.

To nie są lasy tropikalne. To fragment bajkowego ogrodu architekta zieleni Krzysztofa Kosika, mieszkańca Władysławowa. O jego pasjach pisaliśmy dokładnie dwa lata temu, w lipcowym (Nr 2) wydaniu „mojej Lesznowoli”. Zdjęcie na okładce też jest zrobione w jego ogrodzie. Jeśli chcieliby Państwo pokazać swój – prosimy o kontakt.





7



13



28



42



36

## Spis treści

6 Od Redakcji

7 Tekturowa walizka

*...wszystko mogłoby się zacząć tak, jak pięćdziesiąt pięć lat temu*

13 Spacer przez Łoziska

*...wszystko to mamy za darmo na wyciągnięcie ręki*

19 Samotny wilk

*...moja droga od pomysłu do realizacji jest bardzo krótka*

26 W strugach deszczu

*...boisko przeszło tego dnia prawdziwy chrzest*

28 Jestem Wiatr

*...to, że znalazłem się w Magdalence, jest wynikiem szeregu przypadków*

34 Rolki dla każdego

*...z nauką jazdy na rolkach i desce jest tak, jak z nauką chodzenia*

36 Dom pod bocianem

*...szłam do szklarni wypić kawę, bo urzekał mnie zapach pomidorowych krzaków*

42 Historia optymistyczna

*...jako katolik wiedziałem, że Karol Wojtyła, papież Jan Paweł II, jest Polakiem*

48 Słońce na talerzu

*...pachnące, z lekkim rumieńcem i aksamitną skórką*



19



26



34





## Od Redakcji

Mamy czas urlopów. Na drzwiach niektórych sklepów, do których dostarczamy „moją Lesznowlę”, pojawiły się kartki informujące o urlopie i do wielu Czytelników numer wakacyjny nie dotrze. Postanowiliśmy zatem, wzorem ubiegłego roku, wydać jeden lipcowo-sierpniowy numer, bo łatwiej zdobyć jeden brakujący egzemplarz niż dwa.

Muszę powiedzieć, że dzięki wskazaniom naszych Czytelników mamy szczęście do poznawania ciekawych ludzi i ten numer jest tego kolejnym dowodem.

O kim napisaliśmy? O dwóch małżeństwach, które przeżyły ze sobą po pół wieku, a każde z nich, gdyby miało zaczynać życie jeszcze raz, nie robiłoby w nim specjalnych korekt. No, może woleliby skrócić czas doświadczeń, gdy było ciężko, ale na pewno żadne z nich nie zmieniłoby swoich życiowych partnerów. Jedno małżeństwo odwiedziliśmy w Wólce Kosowskiej, drugie w Łazach.

W Magdalence spotkaliśmy interesującego świeckiego kapelana, który po trzydziestu siedmiu latach spędzonych w Kanadzie, gdzie pracował w szpitalach i więzieniach, mieszkał wśród Indian studiując ich kulturę i zwyczaje, wrócił do Lesznowoli. Swoje spotkania z ludźmi, także chorymi i cierpiącymi, opisał w książce *W poszukiwaniu Największej Tajemnicy*.

W Łoziskach rozmawialiśmy z młodym, fantastycznym małżeństwem, które wyznaje zasadę, że najważniejszy w życiu jest cel. Trzeba go sobie wyznaczyć i uparcie do niego dążyć. Oni tak robią i chyba są szczęśliwi.

Skoro wspominałem o Łoziskach, to chciałbym, aby poznali Państwo jeszcze jednego ich mieszkańca i wybrali się z nim na wycieczkę. Zapewniam, że będzie to zaskakujące przeżycie.

Na koniec zostawiłem spotkanie z młodym Chińczykiem, który pokochał Polskę. Osiem lat temu poza tym, że Jan Paweł II był papieżem Polakiem i Polakiem był Fryderyk Chopin, nic o Polsce nie wiedział.

Życzę Państwu jak zwykle miłej lektury, dobrego wypoczynku i do zobaczenia we wrześniu.

Redaktor naczelny  
**Andrzej Kwiatkowski**

## moja Lesznowola

Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski  
OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk  
ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska  
DRUK I OPRAWA MATRIX

WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2  
KONTAKT [mojalesznowola@gmail.com](mailto:mojalesznowola@gmail.com), tel. 600 056 069



# TEKTUROWA WALIZKA

Dom rodziców i dziadków stoi do dziś. Czeka na rozbiórkę schowany w koronach starych jabłoni, które o tej porze roku są obsypane owocami. Dom Gabrieli i Marka Harów tonie w zieleni, opleciony konarami starej winorośli, które uginają się od kiści dorodnych winogron. Za domem wysłużone szklarnie. Okres świetności mają już dawno za sobą, ale przypominają czas, gdy wszystko się zaczęło.





fot. z archiwum prywatnego G. i M. Harów

moja Lesznówola

Z perspektywy ponad półwiecza wspólnego małżeńskiego życia można z pewną odpowiedzialnością stwierdzić, czy były to lata, które chciałoby się powtórzyć, czy czas, który wprawdzie upłynął w związku, ale tak naprawdę nie ma czego wspominać. Tu mamy do czynienia z tym pierwszym przypadkiem. Gdyby można było zaczynać jeszcze raz, wszystko mogłoby się zacząć tak, jak pięćdziesiąt pięć lat temu, od przypadkowego spotkania w centrum Warszawy.

### Szczęśliwa dziewiątka

– Dla mnie dziewiątka była zawsze szczęśliwa – mówi pani Gabrysia. – Szczególnie ta, którą był oznaczony tramwaj jeżdżący z Gocławka na Okęcie. Żeby się dostać z centrum Warszawy do domu w Łazach, zawsze wsiadałam przy Dworcu Centralnym w „dziewiątkę”, jechałam do pętli autobusowej na Banacha i tam przesiadałam się w autobus.

Dlaczego akurat przy Dworcu Centralnym? Bo jako młoda dziewczyna pracowałam w ośrodkach czasowych FWP i dużo jeździłam pociągami, a po pracy z przystanku przy dworcu jechałam do domu.

To był chyba 1965, a może 1966 rok. Wracałam z czasów i stałam na przystanku z wielką kwadratową walizką z tektury, i czekałam na moją „dziewiątkę”. Podjechał tramwaj, a nie były to wagony takie jak dziś, z szeroko otwieranymi, nisko osadzonymi drzwiami, tylko wagony, do których wchodziło się po stopniach. Nie mogłam sobie z tą walizką poradzić.

Wtedy na pomoc pospieszył mi bardzo przystojny, młody człowiek. Wziął moją walizkę i skasował za mnie bilet. W pierwszej chwili pomyślałam, że to Jugol (Jugosłowianin), bo miał czarną czuprynę i był bardzo opalony. Wtedy wielu zagranicznych studentów studiowało w Polsce. Tak czy inaczej wyglądał mi na zagranicznego.

Przejechał ze mną kilka przystanków, potem mi wmawiał, że w tramwaju czytałam gazetę do góry nogami speszona, że się na mnie gapił. Pomógł mi wsiąść i jeszcze mnie odprowadził. Okazało się później, że był studentem politechniki, który mieszkał w akademiku przy Placu Narutowicza.

Aha, na koniec przy pożegnaniu powiedział, że wie, iż nie zawieje się znajomości na ulicy, ale jeśli mnie teraz nie poprosi o spotkanie, to pewnie się nigdy już nie zobaczymy. I tak to się zaczęło – kończy opowieść pani Gabrysia, a mąż w tym czasie parzy kawę z odrobiną kardamonu.

– Właśnie opowiadałam państwu, jak ciebie, kochanie, spotkałam przy Dworcu Centralnym, kiedy czarny jak diabeł wracałeś z lotniska.

Nie wiem, czy państwu mówiłam, że mąż pochodzi z przepięknego Sandomierza. Miasta, które bardzo kochamy, bo tam u męża rodziców, u babci wychowywały się przez pe-

wien czas nasze dzieci. To miasto ma duszę, cudną starówkę, przepiękne kamienice i wspaniały rynek. Smutne jest tylko jedno, że z biegiem lat odchodzą najbliżsi, którzy tam mieszkali, i nasz Sandomierz pustoszeje.

– Rzeczywiście, wszystko zaczęło się w tramwaju – potwierdza wersję żony pan Marek. – Pamiętam, że wracałem z lotniska, bo wtedy latałem cały sezon na szybowcach i byłem tak spalony słońcem, że jak puknąłem się w nos, to dzwoniło (*śmiech*). Zobaczyłem czekającą na tramwaj czarną, pięknie opaloną dziewczynę, która męczyła się z walizką, to jej pomogłem. I tak jest do dziś.

### W chmurach

– Wspomniałem, że tego szczęśliwego dla nas dnia wracałem z lotniska. Moja fascynacja lotnictwem zaczęła się od kółka lotniczego w szkole średniej w Sandomierzu. Koleżdy latali na szybowcach, bo jakieś dwadzieścia kilometrów od Sandomierza, w miejscowości Turbia, było sportowe lotnisko. Gdy pojechałem studiować mechanikę precyzyjną na Politechnice Warszawskiej, do Turbii zrobiło się daleko. Po pierwszym roku studiów nie wytrzymałem i z kolegami z Wydziału Mechanicznego Energetyki i Lotnictwa utworzyliśmy grupę entuzjastów latania, przeszliśmy szkolenie teoretyczne i zaczęło się latanie na lotnisku Aeroklubu Warszawskiego na Gocławiu.

Byłoby wspaniale, gdyby nie to, że chętnych do latania było wtedy wielu i czasem cały dzień trzeba było spędzić na lotnisku, czekając na swoją kolejkę. Zrobiłem kurs podstawowy na dwumiejscowym szybowcu Czapla, który startował z pomocą wyciągarki, i kurs za holującym szybowiec samolotem. Miałem skończone dwa podstawowe kursy i chciałem

latać, ale ta ciągła kolejka nie dawała zbyt wielu szans. Dlatego przeniosłem się do Turbii. Tam zaczęło się dopiero prawdziwe latanie.

W jednym roku zrobiłem kurs podstawowy, licencję, warunki do srebrnej odznaki szybowcowej, akrobację podstawową i akrobację pełną. Moim szefem szkolenia był legendarny Stanisław Kluk, instruktor szybowcowy i samolotowy, modelarz, wielokrotny reprezentant Polski w międzynarodowych zawodach szybowcowych i mistrzostwach świata. Pilot, który w 1964, lecąc z pasażerem na szybowcu Bocian, ustanowił rekord świata na trasie trójkąta 100 km, a w 1980 roku ustanowił rekord odległości w przelocie po trasie trójkąta wynoszącym ponad 893 km.

Zrobiłem też kurs pilotażu na samolotach agrolotniczych w Kętrzynie. Tam latałem w parze z innym wspaniałym pilotem, moim kolegą Henrykiem Poźniakiem, który – tak jak Stanisław Kluk – był uczestnikiem wielu szybowcowych mistrzostw świata, między innymi w Finlandii i Australii.

Jednak przygodę z lataniem zakończyłem. Wybrałem pewniejszy kawałek chleba, jaki zapewniało moim zdaniem skończenie studiów na politechnice.

Zawsze wychodziłem z założenia, że człowiek powinien umieć radzić sobie w każdych warunkach. W powietrzu, na lądzie, w wodzie i pod

wodą. Dlatego tych młodzieńcych pasji miałem wiele. Uprawiałem na Helu windsurfing, czyli pływanie na desce z żaglem, bo ten sport daje człowiekowi kontakt i z wodą, i z wiatrem. W czasie studiów dorabiałem sobie w lecie jako ratownik w różnych ośrodkach czasowych. Gabrysia jako pracownica FWP do tych ośrodków przyjeżdżała na kontrolę.

Chcę przez to powiedzieć, że Gabrysia była świadoma moich pasji. Bo do tego, o czym już wspomniałem, dochodziły narty i polowania. Tej ostatniej pasji trochę się dzisiaj wstydzę. Kocham zwierzęta i żadnej krzywdy za skarby świata dziś bym zwierzęciu nie zrobił. Kocham nawet te dziki w lasach naszej Magdalenki, na które wielu tak psioczy. Trochę się rozgadałem, a mieliśmy mówić o nas.



Trzy lata, jak to się mówi, chodziliśmy ze sobą, nim zdecydowaliśmy się na ślub, co jest dowodem na to, że nie była to decyzja pochopna. Ślub wzięliśmy w 1970 roku. Dwa lata później urodziła się nam córka Renata, a po kolejnych dwóch latach, syn Sebastian.

...człowiek powinien umieć radzić sobie w każdych warunkach





## Przerwana podróż

– Wróć na chwilę do lat, gdy dostałam swoją pierwszą pracę, bo ona w pewnym sensie wpłynęła na moje zamiłowanie do podróży i zwiedzanie świata – mówi pani Gabrysia. – Gdy byłam jeszcze bardzo młoda, można powiedzieć nastolatka, fuksem dostałam pracę w Biurze Podróży „Orbis”. Wtedy Orbis miał swoje wagony restauracyjne w pociągach dalekobieżnych na trasach europejskich i ja zostałam kierowniczką takiego wagonu. Przez piętnaście lat jeździłam po Europie.

Urodziłam się w Łazach, tu mieszkali moi dziadkowie, rodzice i tu zamieszkaliśmy z mężem. Ta część Łaz, gdzie jest ulica Polna, gdzie stoi nasz dom, aż do ulicy Łączności i szkoły, była ziemią mojego dziadka.

Gdy na nowotwór jelita grubego zachorował mój tata, podjęłam decyzję, że będę się nim opiekowała. Zwolniłam się z pracy i zajęłam ojcem. Opieka medyczna nad chorymi na raka trzydzieści lat temu nie była tak rozwinięta jak dziś, więc nauczyłam się robić zastrzyki i aplikowałam ojcu morfinę.

Moja mama, czyli babcia Cecylia Piasecka, miała sto jeden lat. Jej setne urodziny były wielkim wydarzeniem w naszej gminie i w parafii w Magdalence. Od wojny nikt nie obchodził takiego jubileuszu. W hotelu Książę Józef Poniatowski odbyło się wielkie przyjęcie, podczas którego babcia tańczyła w pantofelkach na obcasach. To była osoba niezwykła. Czynna do samej śmierci. W ciągu dwóch dni zasnęła i odeszła w wielkim spokoju z tego świata.

**...babcia Cecylia Piasecka, miała sto jeden lat**



Jestem trzecim pokoleniem mieszkającym w Łazach. Po tej stronie, gdzie mieszkamy, był wtedy tylko jeden, nasz dom, po kilku latach pobudowali drugi i w okolicy kościoła trzeci. Reszta to były pola. Odkryta przestrzeń. Lubiłam późnym wieczorem patrzeć przez okno na migające światelko radiostacji raszyńskiej, bo ono mnie usypiało.

Tu był kiedyś inny świat. Wszyscy się rozumieli i wspierali. Pamiętam, jak w pierwszej kadencji rady gminnej zostałam radną. To nie był łatwy czas. Był rok dwutysięczny, zmieniła się sytuacja polityczna, stosunki gospodarcze i każdy chciał coś dobrego dla swojej miejscowości zrobić. To był wyjątkowy zespół bardzo zgranych ludzi.

Pamiętam, jak z panią Alą Kazubek walczyłyśmy o to, by grunt, na którym dziś stoi szkoła, tak zwane „kacze doły”, nie został sprzedany. I wszyscy jednogłośnie ten wniosek przegłosowali. Mamy dziś piękną szkołę, powstała też druga szkoła katolicka, a przecież pamiętam doskonale naszą starą szkołę ogrzewaną kafłowymi piecami w każdej klasie.

Gdy potem wójtą została pani Jolanta Batycka-Wąsik, zaczęły powstawać pierwsze plany zagospodarowania przestrzennego. Plany wodociągów, kanalizacji i gazyfikacji terenu. Ja w tej swojej społecznej działalności trochę się rozdaję, bo od trzydziestu paru lat jestem też radną w kościele. Ponieważ teren cmentarza był mały, udało się go poszerzyć o obszar, który kiedyś należał do moich dziadków. Trochę mnie to pracy kosztowało, ale udało się dogadać z rodziną.

Kiedy przejęliśmy po rodzicach gospodarstwo, pobudowaliśmy szklarnie i zaczęliśmy się zastanawiać, co robić, jak żyć. W jaką produkcję pójść, żeby dawała pieniądze.

## Ogrodnictwo

– Z rolnictwem miałem do czynienia tylko w wakacje, kiedy jako dzieciak pomagałem dziadkowi – mówi pan Marek – i z takim doświadczeniem przystąpiliśmy do prowadzenia własnego gospodarstwa po rodzicach Gabrysi.

– Ja też pomagałam rodzicom, bo nasze gospodarstwo, choć niewielkie,

ciągnęło się aż do cmentarza – dodaje pani Gabrysia.

– Ustaliliśmy z Gabrysią, że ziemniaków tak jak rodzice sadzić nie będziemy, siał owsa dla kur też nie, tylko pójdziemy w produkcję wiśni. Ponieważ byłem po politechnice, skonstruowałem maszynę i sami produkowaliśmy słupki ogrodzeniowe. Ogrodziliśmy własnymi rękoma cały trzyhektarowy teren. Wzięliśmy kredyt, wywierciliśmy studnię.

Posadziliśmy pomidory i ogórki. Ziemia była wypoczęta, więc wszystko rosło jak na drożdżach. Gdy przyszedł czas zbiorów, samochody ustawiały się przed bramą i kupcy zabierali towar, bo był naprawdę piękny.

Potem przetrzuciliśmy się na kwiaty. Pobudowaliśmy szklarnie i zaczęliśmy od gerbery. Nasz dom jest pomnikiem gerbery, bo to ona go zbudowała. Pracę w szklarni zaczęliśmy o czwartej rano. W nocy jechaliśmy z kwiatami na giełdę, a w południe kładliśmy się na leżaczkę i odspaliśmy.

Ja, jak Zosia Samosia, szybko czytałem i szybko się uczyłem. Mogłem z powodzeniem hodować

gerberę. Zresztą różne rzeczy jako precyzyjny inżynier robiłem w swoim życiu. Zaraz po studiach pracowałem w Instytucie Lotnictwa na Okęciu. Projektowałem osprzęt do samolotów. Zarabiałem tyle, że gdyby mi ojciec kupił samochód, to nie wiem, czy wystarczyłoby mi na benzynę (*śmiech*). Byłem żonaty, miałem rodzinę, musiałem zarabiać.

Ponieważ mój ojciec był w Sandomierzu zegarmistrzem, poznałem dzięki niemu producentów części do zegarków. Sprężyn, teleskopów, osi balansowych i innych ważnych drobiazgów, których produkcja była dobrym interesem. Wziąłem się więc za ich produkcję. Kilka lat pracowałem w sektorze prywatnym, który w tamtych latach był, jak wiemy, bardzo przez władze niekochany. Zona w tym czasie jeździła jako kierowniczka w wagonach Warszawy, który powstał na miejscu Orbisu. Dwa tygodnie w podróży, dwa tygodnie odrabiania zaległości w wychowywaniu dzieci i w domu.

– Bardzo mi wtedy pomagali rodzice. Dlatego uważałam, że powinienam, gdy byli w potrzebie, gdy

zachorował ojciec, ten dług wdzięczności spłacić, i zrezygnowałam z pracy. Dziś w szklarniach są tylko ekologiczne warzywa na własne potrzeby.

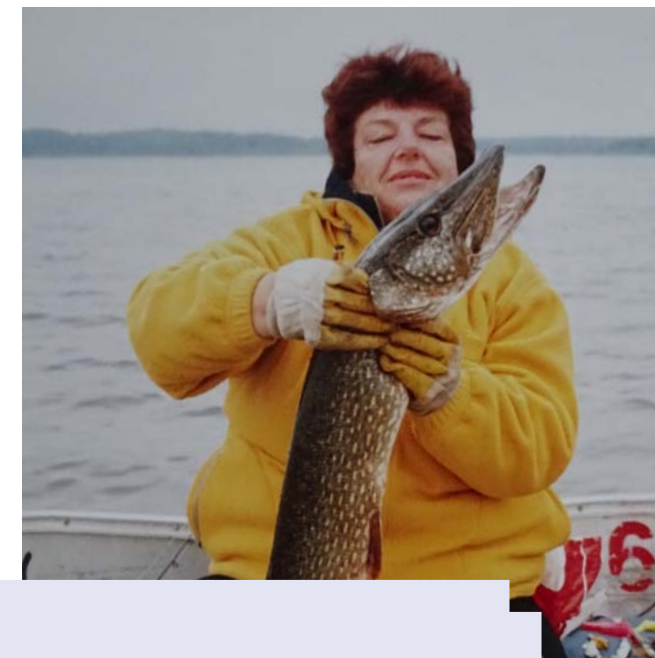
## Nasze pasje

– Kochamy podróże. Uwielbiamy zbierać grzyby i wędkować – mówi pani Gabrysia.

– Żeby nie wyjść na egoistę – dodaje pan Marek – wychodziłem z założenia, że we wszystko co mi sprawia przyjemność, powinienem wciągać żonę. Narty nam nie wyszły. – O, przepraszam – mówi pani Gabrysia. – Nie wyszły, gdy jeździłam z tobą, ale gdy jeździłam z instruktorem, szło mi bardzo dobrze. – Nie wyszło pływanie w pław i nurkowanie – przypomina pan Marek.

– Lubię wodę, ale jak mam grunt pod nogami, więc z pływaniem nie było tak źle – usprawiedliwia się pani Gabrysia. – Co do nurkowania, masz rację. Nurkować nie lubię.

– Ale za to wędkujemy. Gabrysia rzuca spinningiem, a ja jako człowiek, który musi być w ruchu, pływam łódką z echosondą, szukając



**...we wszystko, co mi sprawia przyjemność, powinienem wciągać żonę**



drapieżników, i na nie poluję. Gdy miałem krótką łódkę, taką trzy metry sześćdziesiąt centymetrów, to były problemy, bo pod naszą parą bardzo się kiwała, czego Gabrysia nie znosiła. Kupiłem dwa razy dłuższą i ta już się nie kiwa.

– I fotel w nią wchodzi, i materac, więc jest wygodnie. Człowiek w naszym wieku musi mieć wygodnie, żeby oszczędzać kręgosłup – dodaje pani Gabrysia.

– Najpierw łowiliśmy na łowiskach w Szwecji, ale wkrótce się okazało, że Szwecja jest za droga, a piękne ryby są u naszych sąsiadów na Słowacji. Odkryliśmy zbiornik orawski z taką ilością dorodnych sandaczy, że aż się chciało łowić. Łowiliśmy tam przez kilkanaście lat.

Wyjeżdżamy też turystycznie. Kiedy dzwonił państwo do nas, byliśmy na wycieczce po Grecji. Byliśmy na Zanzibarze, gdzie mieliśmy cudowne spotkanie z Masajami. Byliśmy w Wenezueli. Staramy się w życiu mieć kilkuniedniowe przerywniki w pracy. Praca, praca i wypad na kilka dni. Na ryby, grzyby, które żona uwielbia rozdawać.

– Poza tym, balsamem na moją duszę jest Uniwersytet Trzeciego Wieku, w którym jestem od początku jego powstania w naszej gminie – mówi pani Gabrysia. – Ja, tak jak i moje koleżanki, czekam na każde spotkanie, bo to jest niezwykła odskocznia od codziennych problemów. Są świetni wykładowcy i bardzo interesujące tematy spotkań. Rozmawiamy o podróżach, dowiadujemy się, co możemy zobaczyć, gdzie być, a potem jedziemy.

W ostatnie święta Bożego Narodzenia byliśmy w Krakowie na wystawie szopek, teraz grupa poleciała do Gdańska. Zakończenie roku akademickiego mieliśmy w pięknym Kazimierzu.

Najważniejsze jest jednak co innego. Wielu słuchaczy UTW straciło już swoich bliskich i stało się ludźmi samotnymi. Te spotkania i zajęcia tych ludzi łączą. Pozwalają być wśród przyjaciół, z którymi można razem pójść do kina czy teatru, zwiedzać muzea, oglądać wystawy i dzielić się swoimi wrażeniami, ale też rozmawiać o życiu, o codziennych problemach.

Bardzo ważne i wzruszające są przejawy takiego ogromnego wsparcia psychicznego, jakiego słuchacze sobie udzielają. Czasem aż łza się w oku kręci, gdy się to obserwuje i w tym uczestniczy. Proszę zrozumieć, to nie jest takie głaskanie kogoś, kto ma problem i mówienie: „Nie martw się”. To są codzienne kontakty, codzienne telefony, pytanie, czy czegoś nie potrzebujesz, czy mogę ci jakoś pomóc. To jest codzienne wysyłanie dobrej energii.

W ubiegłym roku robiłam u siebie w domu spotkania z powodu nie-

### *...balsamem na moją duszę jest Uniwersytet Trzeciego Wieku*

szczęścia, jakie dotknęło jedną z koleżanek. Była w ogromnym dołku psychicznym po śmierci córki i te spotkania, wyciąganie jej na siłę z domu, do ludzi, do przyjaciół, postawiły ją na nogi. Pozbierała się, bo wszyscy przekazywali jej pozytywną energię.

Poza tym odbyło się u nas kilka tematycznych spotkań, na które zaprosiliśmy również naszych przyjaciół, żeby spotkali się z kolegami w UTW. Był między innymi przedstawiony w „mojej Lesznowoli” kapitan pilot Edmund Maruszewski, który opowiadał o lotnictwie. Marek miał pogadankę na temat łowiectwa, a razem mówiliśmy o wędkarstwie.

Nie muszę chyba dodawać, że dwa z tych spotkań nie były tylko przy kawie, ale wiązały się z pokazem przyrządzania potraw i degustacją.

Nie tylko spotykamy się na cotygodniowych zajęciach UTW, ale też spotykamy się indywidualnie. Zawiązują się przyjaźnie, nie ma czasu na depresję, na nudzenie się, na samotność. Ktoś ten UTW genialnie wymyślił.

– Moja żona należy do tych kobiet, które muszą być w ciągłym ruchu, muszą coś robić, muszą się udzielać. Kiedyś powiedziałem do niej żartem: „Jak jesteś radną i w gminie, i w kościele, to doradź mi też, co mam zjeść na obiad” – wtrącił pan Marek.

– On tak się czasem ze mnie podśmiewa, ale niedawno podsłuchałam, jak rozmawiał z naszą ciotką i powiedział, że gdyby jeszcze raz życie zaczynał, to chciałby mnie spotkać, bo innej żony sobie nie wyobraża – podsumowała nasze spotkanie pani Gabrysia. ■

# Spacer przez Łoziska







– Zamieszkałem w Łoziskach, bo jest tu las, piękna przyroda, pola, które ciągną się do Piaseczna, łąki i trochę dzikiego terenu. Znam te okolice, bo kiedy mieszkałem w Piasecznie, biegałem tu i podpatrywałem przyrodę. Z wykształcenia jestem technikiem ogrodnikiem, także informatykiem. Zawodowo pracuję jako informatyk, a po pracy podpatruję przyrodę – mówi pan Roman Głodowski.

#### **Czym skorupka nasiąknie**

– Nie umiem odpowiedzieć precyzyjnie na pytanie, kiedy zaczęło się moje zainteresowanie przyrodą. Myślę, że mam je od urodzenia. W domu moich rodziców w Gostyninie, gdzie się urodziłem, zawsze były zwierzęta, przede wszystkim psy. Ojciec był i jest hodowcą gołębi pocztowych. Cały jeden pokój w bloku na czwartym piętrze był zastawiony akwariami. Jak przez mgłę pamiętam czasy dzieciństwa, gdy z rodzicami chodziłem do lasów zbierać grzyby i nad jeziora oglądać dzikie ptactwo. Całe Pojezierze Gostyńsko-Włocławskie z jeziorami i lasami to obszar, który zaskakiwał pięknem i bogactwem przyrody.

Gdy z domu wychodziliśmy na spacer z psem, to nie chodziliśmy wokół bloków, tylko zapuszczaliśmy się na kilkugodzinne spacerki przez łąki i do lasów. Lata mojego dzieciństwa, sposób spędzania czasu, różniły się od obecnych. Dawniej znacznie więcej obcowaliśmy z przyrodą i przebywaliśmy na jej łonie. Tak to się zaczęło.

Tego tekstu by nie było, gdybyśmy naszą wiedzę o Łoziskach oparli na informacji z mapy gminy. Informacja jest jednozdaniowa. „Łoziska – wieś w strefie silnego oddziaływania Piaseczna, z funkcji rolniczej przekształca się w miejscowość mieszkaniowo-usługową”. Ponieważ jednak z racji bobrów o tym sołectwie było ostatnio głośno, postanowiliśmy pokazać, jakie naprawdę są Łoziska. Na przewodnika wybraliśmy pana Romana Głodowskiego.

Bardzo duży wpływ na moją fascynację przyrodą miała pani Wróblewska, nauczycielka biologii w szkole podstawowej. To dzięki niej biologia była moim ulubionym przedmiotem. Może dlatego co jakiś czas do domu trafiały chomiki, jakieś myszki, patyczaki i inne stworzenia. To pewnie dzięki pani Wróblewskiej hodowałem w domu kwiaty doniczkowe i wyhodowałem miniaturową sosnę.

Po szkole podstawowej poszedłem do technikum ogrodniczego w Mieczysławowie za Kutnem, ale plan miałem taki, żeby skończyć technikum, a potem studiować na SGGW w Warszawie, na wydziale weterynarii. Ten plan urodził się jeszcze w podstawówce, gdy znalazłem w bibliotece mojego dziadka pięknie wydany podręcznik do weterynarii. Pamiętam, że wiele godzin spędziłem siedząc na podłodze i z wypiekami na twarzy przeglądając piękne zdjęcia i grafiki w nim zamieszczone.

Moje losy potoczyły się jednak inaczej, bo po technikum skończyłem

studium informatyczne w Płocku i podjąłem pracę informatyka.

Dziesięć lat temu zatęskniłem za naturą. Może to za sprawą spacerów z moim psem zacząłem znowu częściej oglądać świat, przypominać sobie leśne łąki, podglądać ptaki i zwierzęta. Wtedy też wróciła moja pasja fotograficzna, polowania z obiektywem. Od ponad roku działam też w różnego rodzaju fundacjach i staram się pomagać zwierzętom.

#### **Chodźmy razem**

– Mój syn też bardzo interesuje się przyrodą. Często razem jeździmy rowerami do lasu, podglądamy zwierzęta, odwiedzamy bobry na tamie w Łoziskach i widzę, że przybył nam jeszcze jeden pasjonat przyrody.

Zamiast opowiadać o przyrodzie, o ptakach, zwierzętach, najchętniej zabrałbym każdego na wycieczkę i pokazał to wszystko, czego na co dzień nie widać, na co nie zwraca się uwagi i czego się nie zauważa. Jestem głęboko przekonany, że w przeważającej większości przy-



### **...dziesięć lat temu zatęskniłem za naturą**

padków zaowocowałyby to pozytywnymi emocjami.

Przyroda jest piękna, jest wszędzie, za darmo, nie trzeba nic robić, tylko o nią dbać, podziwiać i cieszyć się nią. Nic więcej. Wystarczy wyjść i patrzeć. Nie tylko na wsi, w lesie, ale także w dużym mieście jak Warszawa można pójść do parku, usiąść, wyłączyć smartfona i rozejrzeć się po drzewach, spojrzeć w górę, dostrzec ptaki, posłuchać ich głosów, przyjrzeć się upierzeniu i zobaczyć, że ptak to nie szara kulka, tylko paleta przemyślnie dobranych wzorów i kolorów. Wszystko to mamy za darmo na wyciągnięcie ręki.

Warto w wolną sobotę i niedzielę odejść od telewizora, porzucić głupawe seriale, darować sobie jałowe głądzenie polityków, wziąć dziecko

za rękę, butelkę wody, kanapkę na drogę i wybrać się w teren. Pochodzić po lesie, popatrzeć i posłuchać ptaków. To warto zrobić o każdej porze roku, bo o każdej porze roku zobaczymy coś, czego dotąd nie widzieliśmy.

Ja na przykład prawie każdego dnia i o każdej porze roku odkry-



wam coś nowego w moich Łoziskach. Spróbuję opowiedzieć, co udało mi się zobaczyć i upolować podczas moich bezkrwawych łowów z teleobiektywem.

To, co dzięki Bogu mamy jeszcze w Łoziskach i co ma ogromną wartość przyrodniczą, to lasy, dzikie łąki, nieużytki i kanał piaseczyński. Gdybyśmy mieli morze i trochę gór, mielibyśmy wszystko, co występuje w Polsce. Bogactwo żyjących między ludźmi zwierząt jest naprawdę zadziwiające. Tak blisko kompleksu mieszkaniowego samych Łozisk, w bezpośrednim sąsiedztwie niemałego Piaseczna i wielkiej Warszawy mamy ogromne bogactwo przyrody.

#### **Napotkane po drodze**

– Idąc z Piaseczna w kierunku Łozisk między wybudowanymi w ostatnich latach domami, napotkamy przestrzeń porośniętą starodrzewem i pola, na których możemy spotkać i poobserwować sarny. Mamy bardzo piękne i bardzo zdrowe stadko składające się z trzech kozłów i czterech saren, a teraz z pewnością doszły młode. Wprawdzie ich jeszcze nie wypatrzyłem, ale to tylko kwestia dni. Przy odrobinie szczęścia, raczej wieczorem, spacerując w okolicach ulicy Fabrycznej, z pewnością spotkamy sarny.

W tych samych rejonach są dziki. Mieszkają na nieużytkach w okolicach kanału piaseczyńskiego oraz dopływów dwóch rowów melioracyjnych, szóstego i siódmego w terenie otoczonym domami, gdzie jest trochę pól, krzaków i stary sad. Ponieważ często tam przebywam



...przyroda jest piękna,  
jest wszędzie, za darmo



mieszczam, nie podchodząc za blisko i omijając dziki dla bezpieczeństwa lekkim łukiem. Byłem jakieś pięć metrów od nich, a one stały i mnie obserwowały.

Od tamtej pory dziki na mnie nie reagują. Ja idę swoją drogą, one robią swoje. Wiedzą, że im nie zagrażam. Całkiem inaczej się zachowują, gdy nie jestem sam, gdy jest ze mną ktoś, kogo nie znają. Wtedy nie podchodzą tak blisko.

Jeszcze niedawno dzików było tu jakieś dziesięć sztuk, ale teraz są wysokie trawy, jest gęsta zieleń, więc trudno powiedzieć, ile ich jest, bo przecież przybyły młode warchlaki.

Zajęcie spotykam w późnych godzinach wieczornych albo nocą. Jest ich bardzo niewiele i spotykam je coraz rzadziej. Na pewno są na tym terenie dwie rodziny lisie i mam je dobrze zlokalizowane. Jakies

dwa miesiące temu były młode, bo mamuski bardzo kursowały między norami, polując na ptaki i drobne gryzonie.

Często znajduję jeże, które beztrudno wychodzą na drogi i ulice. Przetawiam je na bezpieczną odległość, bo wiele nieostrożnych ginie niestety pod kołami. Pojawiają się też przechodnie losie, które wędrują gdzieś z lasów chojnowskich w okolice Lesznowoli i Magdalenki. Dwa młode osobniki spotkałem dwa lata temu na drodze przed Lesznowolą.

Rarytasem jest czarny bocian, którego miałem okazję zobaczyć zerkającego na łące niedaleko bobrowej tamy. Wiem, że przylatuje do nas regularnie od kilku lat. Mogę się pochwalić, że nawet udało mi się zrobić mu w locie zdjęcie.

W tym roku przy samej tamie bobrowej pojawiły się pewnie

przelotem kuliki mniejsze, które zamieszkują Islandię, Wyspy Owce, północną Szkocję i Półwysep Skandynawski. Przy ulicy Fabrycznej jest bardzo dużo czajek. Warto poobserwować wykonywane przez te ptaki akrobacje i posłuchać charakterystycznego ich nawoływania.

Mamy w Łoziskach i mewy śmieszki, i całą gamę ptaków z rodziny krukowatych. Kawki, wrony, sroki i sójki. Odkryłem dwa gniazda pustulek. Drapieżników, które gniazdują na obrzeżach lasów i drzewach śródpolnych, ale świetnie przystosowały się również do życia miejskiego. Wysokie budynki i wieże kościołów są dla nich odpowiednikiem skalnych ścian, na których pierwotnie gniazdowały. Szczególnie pięknie wyglądają, gdy zawisają nad polami, wypatrując drobnych gryzoni czy ptaków, na które polują.

Jest zatem w Łoziskach czym oko i ucho nacieszyć, nie wchodząc jeszcze do lasu. I wszystko za darmo.

### Nasze bobry

– Kilka lat temu przy torach kolejowych na rzece w okolicach Piaseczna bobry miały swoje tamy. Ale gdy przebudowywano przepust, tamy zostały zniszczone i bobry się gdzieś wyniosły. Niewykluczone, że przeniosły się do nas, do Łozisk.

U nas bobry zaczęły się pojawiać jesienią ubiegłego roku. Wybrały sobie miejsce i zaczęły ścinać i gromadzić patyki, budulec na tamę. Mniej więcej w lutym, w miejscu gdzie jest dziś tama bobrowa, była okazała rozmiarów sterta naniezionych patyków. Rozpoczęła się budowa tamy i korytarzy. Nawet udało mi się zlokalizować główne gniazdo, więc wiedziałem, gdzie nie należy

chodzić, tupać i płoszyć sympatycznych zwierząt.

Bobry drążą w ziemi wiele korytarzy prowadzących w różne miejsca. Drążą też swoje korytarze pod wodą, a wyjścia do wielu z nich są albo w wodzie, albo tuż nad nią. Budują też w korytarzach zmyślne kolanka zalane wodą lub część korytarzy prowadzą przez wodę, aby zapobiec dotarciu nieproszonych gości do gniazda.

Bobry tym różnią się od innych gryzoni, że potrafią przystosować środowisko do swoich potrzeb. Dzięki wyjątkowo silnym siekaczom mogą ścinać nawet bardzo grube drzewa i budować tamy i żeremia, czyli swoje bobrze domki. Budują je w ten sposób, że najpierw wykopują korytarze, które prowadzą od dna cieku do komory, która jest zlokalizowana ponad poziomem wody. Na komorę



nakładają na przemian gałęzie, darń i muł. Tu u nas żeremi nie zbudowały. Poziom wody w kanale jest nawet przy spiętrzonej tamie na tyle niski, że mogą spokojnie mieszkać bez konieczności dodatkowej budowy.

Na moje oko mamy tu dwa osobniki, które po trzech latach dorastania w bobrzej rodzinie, zostały przez rodziców wyprawione z gniazda, by zaczęły samodzielne życie. I one właśnie zaczynają samodzielne funkcjonowanie. Model bobrzej rodziny to dwa plus dwa, więc i tutaj była dwójka małych, które urodziły się na początku kwietnia i dziś już przypominają wielkością osobniki dorosłe. Czasem trafia się trójka dzieci, ale jest to przypadek rzadki.

Powiem tak: gdyby bobry zdały sobie sprawę, jak ich obecność w danym środowisku zmienia to środowisko na korzyść, powinny od ludzi żądać zapłaty. Tama zbudowana przez bobry doskonale filtruje wodę. Tam, gdzie bobry podwyższą poziom wody, zwierzęta przychodzą do wodopoju. Przylatują ptaki, których w tym miejscu nigdy nie było. Są na przykład kaczki krzyżówki z małymi, które tu przedtem nie przylatywały. Zmienia się też gospodarka wodna na gruntach w pobliżu tamy. Nieużytki zamieniają się w grunty uprawne.

Nie wszyscy o tym wiedzą, nie znają bobrzyczych zwyczajów, ale z całą pewnością wie o tym Edyta Paradowska z Lesznówoli i jej córka Oliwia, które ze mną opiekują się bobrami. Ludzie, gdy widzą tamę na cieku wodnym, natychmiast przewidują powódź i podtopienia. Nie myślą, że tama nie zatrzymuje wody, tylko ją trochę spiętrza z pożytkiem dla bobrów, środowiska i człowieka.

Wszystko, o czym powiedziałem, można zobaczyć, idąc na spacer przez Łoziska. Gorąco do takich spacerów zachęcam, a jeśli ktoś nie ma czasu na spacer, może obejrzeć filmiki z bobrami na:

<https://facebook.com/NaszBohr> ■



*...bobry potrafią  
przystosować środowisko  
do swoich potrzeb*

fot. z archiwum prywatnego państwa Rogoź



*Samotny  
wilk*





**Informacja w redakcyjnej poczcie była krótka: „Jestem mieszkanką gminy Lesznowola. Tu się wychowałam i chodziłam do szkoły. Chętnie opowiemy Czytelnikom o naszych rodzinnych pasjach. O moich startach w biegach na ultra dystansach i o kolarskiej pasji mego męża, który brał udział między innymi w wyścigu non stop dookoła Austrii i jako pierwszy Polak ukończył w tym roku jeden z najstarszych ultra maratonów na świecie – Glocknerman 2018”.**

Nie trzeba było więcej słów. Umówiliśmy się na spotkanie. Pani Elżbieta z mężem Radosławem i córką mieszkają w Łoziskach. Dziadkowie pani Elżbiety we Władysławowie, rodzice w Bobrowcu. Był czas, gdy państwo Rogoż opuścili naszą gminę, ale po latach wrócili. Do tej samej szkoły, co pani Elżbieta, chodziła jej córka.

### Spotkanie po latach

– Gdy nasza Ola poszła do gimnazjum, to moja dawna wychowawczyni i dwie inne panie, które mnie uczyły, przez pół roku mówiły do niej „Elu”, a ona nie wyprowadzała ich z błędu, bo wiedziała, że myliły ją ze mną – mówi pani Elżbieta. – Nie przypuszczałam, że historia kiedyś takie zatoczy koło.

Jak przysłałam pierwszy raz do szkoły Oli, nie musiałam mówić, kim jestem. To było miłe spotkanie. Taki powrót po latach do czasów, gdy byłam nastolatką. Panie mnie zobaczyły i powiedziały: „Elunia, nic się nie zmieniłaś. – Jak to nie? Minęło przecież dwadzieścia kilka lat” – odpowiedziałam.

Spotkałyśmy się potem na balu gimnazjalnym i zrobiłyśmy sobie zdjęcie. Moja wychowawczyni stwierdziła, że to chyba nasze ostatnie wspólne zdjęcie. Ja na to: nie, do szkoły przyjdą jeszcze moje wnuczki. A ona odpowiedziała: „Ja już tak długo tu nie będę”. *(śmiech)*

W szkole nie biegałam. Nie lubiłam tego typu atrakcji *(śmiech)*. Wolałam siedzenie na kanapie i oglądanie seriali.

– A ja w szkole podstawowej trenowałam sztuki walki – mówi pan Radek – ale gdy zacząłem dorosłe życie, zająłem się pracą i sport poszedł w odstawkę.

– Z mężem poznaliśmy się przez przypadek. Szukałam pracy, a na Karczunkowskiej otwierano jakąś firmę. Pomyślałam: „Podjadę i zapytam. Może będzie praca dla ekonomistki po zarządzaniu”.

– Elę zobaczyłem pierwszego dnia, kiedy przyjęli ją do firmy, i może trudno w to uwierzyć, ale powiedziałem do kolegów: „Chłopaki, to będzie moja żona”. Po roku postanowiliśmy, że się pobierzemy.

– Potem urodziłam Olę, a Radek został zwolniony z pracy. Akurat tak się te wydarzenia poukładały. Byłam na urlopie macierzyńskim, mieliśmy małe dziecko i wtedy mąż postanowił z bratem założyć własną działalność gospodarczą, spokrewnioną z tym, co robili – inteligentne instalacje domowe. To był ciężki okres.

Wzięliśmy kredyt na mieszkanie, kredyt na samochód i na trzynaste lat wyprowadziliśmy się do Starej Miłosnej.

### Pierwsze buty

– Pracowaliśmy razem. Radek bardzo często wyjeżdżał ze względu na różne instalacje, wracał w nocy albo w ogóle nie wracał. Jadł nieregularnie, przeważnie w fast foodach. Gdybyśmy państwu pokazali nasze zdjęcia z tamtego okresu, to trudno byłoby uwierzyć, że rozmawiacie z tymi samymi osobami.

– Ważyłem dziewięćdziesiąt trzy kilo. To było okropne – wspomina pan Radek. – Koniecznie trzeba było coś z tym zrobić. I wtedy Ela namówiła się z moim bratem Grześkiem, i dostałem od niego buty do biegania, koszulkę i ciężki dres Adidasa, który momentalnie nasiąkał potem. Wyglądałem w nim jak Rocky Balboa. Zacząłem biegać.

Mieliśmy taką trzykilometrową pętlę na osiedlu w Starej Miłosnej i tam to wszystko się zaczęło. Zarażeni moim biegiem zaczęli ze mną biegać sąsiedzi. Przyszły pierwsze starty na 5 km, na 10 km, półmaraton zrobiony w czasie, którym się nie chwale *(śmiech)* i maraton, o którym wolę nie wspominać. Zawsze obok mnie były żona i córka, które mi kibicowały.

– Pamiętam – wspomina pani Ela – był taki rok pięć czy sześć lat temu, gdy Półmaraton Warszawski odbywał się w marcu przy fatalnej pogodzie. Było strasznie zimno i padał śnieg. Stałam na trasie, patrzyłam na biegaczy i myślałam: „Oni są po prostu nienormalni. Biegają z krótkimi rękawkami, w krótkich spodenkach, a ja tu stoję w kurtce i cała się trzęsę. Nie, to są jacyś wariaci?”. Ja tego kompletnie nie rozumiałam.

### Rower

– Przygoda z biegiem trwała dwa lata. Udało mi się trochę zrzucić wagę i zdobyć mnóstwo medali, ale bieganie mnie znudziło. Może dlatego, że koledzy, którzy mieszkali w Starej Miłosnej, to nie byli biegacze, tylko kolarze górscy. Postanowiłem kupić sobie rower.

Ponieważ mam tak, że moja droga od pomysłu do realizacji jest bardzo krótka, kupiłem rower. Jednocześnie zakochałem się w ilustrowanym magazynie przeznaczonym dla mężczyzn. Magazyn nazywał się LOGO i poruszał tematy związane ze stylem życia mężczyzny. Zacząłem to pismo czytać i pewnie tak, jak wielu innych czytelników, chciałem mieć to, o czym czytałem. Czytałem o zegarkach, kosmetykach, ubraniach, butach, sposobach odżywiania i przeczytałem o wyścigu górskim Transkarpatia, odbywającym się w naszych Beskidach. Jest to sześciodniowy wyścig kolarski na rowerach górskich, porównywany, jeśli chodzi o stopień trudności, z samochodowym rajdem Paryż–Dakar.

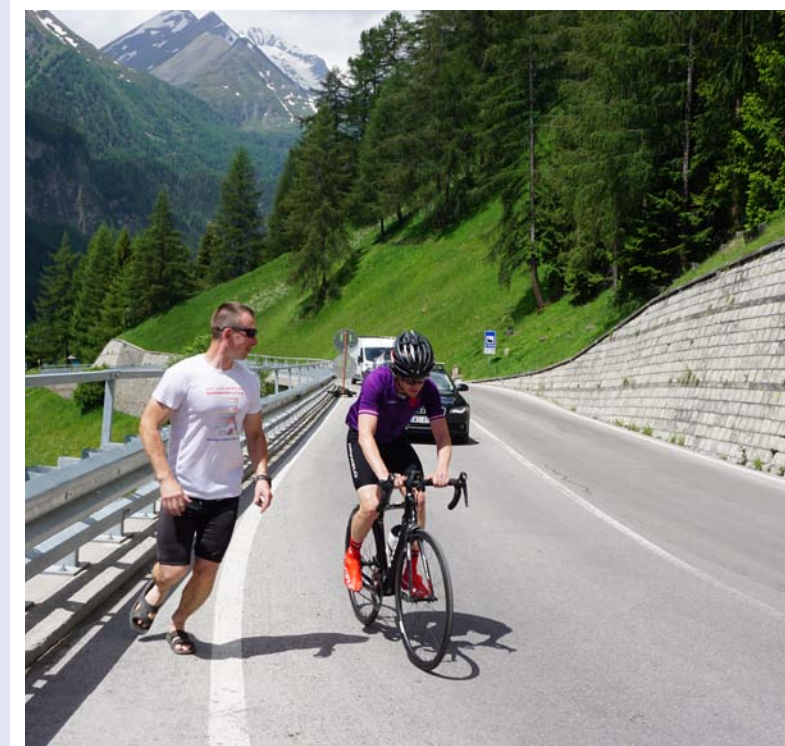
Jedzie się samemu z miejsca A do miejsca B, zaliczając punkty kontrolne w górach. Przeczytałem i niewiele myśląc, zresztą jak się później okazało, nigdy nie myślę przed takimi decyzjami, zapisałem się. Zapłaciłem pokaznie wpisowe i dopiero zacząłem się zastanawiać, co z tym zrobić. Przecież do takiego wyścigu potrzebny jest specjalny rower, a nie taki ciężki jak mój, który miałem z Decathlonu.

Kupiłem nowy rower i pojechałem na wyścig. Dzień przed wyścigiem chciałem się wycofać. Gdyby oddali wpisowe, pewnie bym to zrobił, ale oddać nie chcieli, bo nie odebrali mojej wiadomości, że rezygnuję. „Zapłaciłeś tyle pieniędzy, to jedź, szkoda forsy” – powiedziała Ela. I to zdecydowało. Start był w Ustroniu, więc trzeba było

wziąć samochód i pojechać do Ustronia. Dokupiłem trochę sprzętu, trochę dętek, rzeczy, o których w ogóle nie miałem pojęcia, i jako osiemdziesięciokilogramowy gość wystartowałem w wyścigu.

Jechałem, żeby wygrać, bo przecież trenowałem w lesie w Starej Miłosnej. Sukcesu niestety nie było. Już na pierwszej górze wszyscy pokazali mi moje miejsce w szeregu. To był podjazd na moją ukochaną Czantorię, która mnie kompletnie sponiewierała. Gdy na nią wjechałem, byłem dokładnie odwodniony i prawie nie widziałem na oczy. Dalej było lepiej. Dojechałem do mety. Ukończyłem wyścig.

Z biegiem czasu startowałem w coraz to innych górskich wyścigach rowerowych. Także w tych najtrudniejszych, takich jak na przykład Beskidy MTB Trophy.



Jest to tak ciężki wyścig, że dwa razy się wycofałem. Za pierwszym razem z podkulonym ogonem wróciłem do domu. Na pierwszym etapie popsuł mi się rower i straszne skurcze szarpały mną w nocy. Doszedłem do wniosku, że jednak nie jestem przygotowany, i następnego dnia wróciłem do domu. Kolejne dwa czy trzy wyścigi przejechałem całkiem niezle.

Ładnych parę lat ściagałem się na rowerze górskim, a moje dziewczyny cały czas były ze mną. Zawsze stały obok i zawsze kibicowały. To było bardzo ważne, bo dzisiaj z perspektywy czasu wiem, że to musiał być dla nich duży wysiłek, żeby zaakceptować coś takiego. Szczególnie, gdy mieszkaliśmy w pięćdziesięciosześcioletnim mieszkanku i wracałem z treningu.

Wyobraźcie sobie, że do domu wraca facet oblepiony błotem i niesie ubłocony rower do łazienki. Nie ma gdzie



go umyć, więc ładuje go do wanny. Myje rower w wannie, w której się wszyscy kąpią. Potrzeba wiele wyrozumiałości, żeby to zaakceptować.

– Był taki moment – wtrąca pani Ela – kiedy się lekko zbuntowałam. Radek zaczął na poważnie trenować pod okiem trenera i trening był dla niego najważniejszy. Jeśli chciałam, żebyśmy gdzieś pojechali, to on mówił: „Nie, nie, teraz nie mogę, bo mam trening. – To napisz trenerowi, że dziś nie możesz i nadrobisz wszystko jutro. – Nie mogę, Elunia, bo to jest zaplanowane na dziś i ja to dziś muszę zrobić”. Nie było między nami z tego powodu awantur, ale nie rozumiałam tego priorytetu.

### Mój pierwszy medal

– Radek jest takim człowiekiem, że odważnie podejmuje decyzję, a dopiero potem przychodzi refleksja – mówi pani Ela.

– Odważny, znaczy bezmyślny – przekomarza się z żoną pan Radek. – Nie, to nie tak. Zaraz wyjaśnię, o co mi chodzi. Zaczęłam biegać pod koniec marca czy kwietnia, a Radek zapisał mnie na pięciokilometrowy Bieg Konstytucji, który był na początku maja.

Stałam malutka na starcie w długich legginsach, w okazjonalnej koszulce z długimi rękawami, w czapce z daszkiem na głowie, między zawodnikami w krótkich spodenkach, koszulkach startowych na ramiączka, wysmarowanych maściami rozgrzewającymi i myślałam: „Boże, co ja tutaj robię?”.

Bieg ruszył i ja razem z innymi, ale jakby osobno. Wolniutko, ostrożnie przebiegłam trasę i dostałam swój pierwszy medal.

– Po tym biegu bezmyślny mąż powiedział do siebie: „Kurczę, ona to przebiegła, no przebiegła – wspomina pan Radek. – Trzeba jej kupić pakiet startowy na półmaraton” i taki prezent Eli zrobiłem. Siedzieliśmy w pracy vis à vis siebie, miałem otwarty komputer, ona miała otwarty swój, i zarejestrowałem ją do biegu, podając jej adres mailowy. Bezmyślnie od razu zapłaciłem, żeby się nie wycofać.



Pamiętam moment, gdy ona podniosła wzrok znad swojego komputera i powiedziała: „Ty chyba zwariowałaś”. Potem zaczęła się przygotowywać. Biegała regularnie. Sama, bez wsparcia trenerskiego. Miała jakiś plan z internetu, który wisiał na lodówce, i trenowała.

– Trenowałam, jak mi się chciało, ale wiedziałam, że przed maratonem muszę przebiec dystans półmaratonu, bo uznałam, że jak to zrobię na treningu, to na zawodach też zrobię. Przebiegłam półmaraton i powiedziałam sobie, że dłuższego dystansu nie pokonam. Bolały mnie piekielnie plecy i w ogóle wszystko. Postanowiłam, że będę biegała tylko dla przyjemności, dla siebie. Dla poprawienia sylwetki, żebym mogła się inaczej ubierać. Słowem, będę biegała tak, by sprawiało mi to radość.

I co wtedy zrobił mój mąż? Zapisał mnie na Maraton Warszawski i opłacił pakiet startowy. Meta maratonu była na Stadionie Narodowym, a na mecie czekał na mnie z kwiatami mój mąż.

– To było niesamowite przeżycie. Kiedy Ela wbiegła na stadion, nikogo już prawie na nim nie było. Biegła pięć godzin i czterdzieści osiem minut. Kwiaty mi zwiędły.

– Po starcie troszkę biegłam, potem troszkę szłam, znowu troszkę biegłam, podbiegałam, ale przez większość dystansu szłam krokiem spacerowym. Kierowcy dookoła trąbili, bo ruch był wstrzymany. Pukali się w głowę, że wariaci idą, że spacer sobie robią po Warszawie.

Pamiętam z tego maratonu to, co było pozytywne. Miałam na sobie bardzo kolorowe legginsy, które dostałam od Radka. Co jakiś czas ktoś krzychał: „Ale masz fajne gacie” i ja wtedy się podrywałam, i biegłam dalej. Gdy już wbiegałam na płytę stadionu, to pomyślałam, że oni tam pewnie stoją i na mnie czekają. Wtedy się zatrzymałam, poprawiłam sobie wszystko elegancko i taka rozochociona wbiegłam na metę.

Przeżycie, że jednak dotarłam do mety, było tak ogromne, że nastawiło mnie bardzo pozytywnie.



– Satysfakcja, że taki bieg się ukończy, jest tak wielka, że chce się góry przenosić. Jest medal, jest sukces nie do opisania – mówi z własnego doświadczenia pan Radek.

– Widząc radość żony, ja, bezmyślny mąż, zafundowałem jej opiekę trenerską. W prezencie opłaciłem na pół roku trenera i zaczęło się poważne trenowanie z byłym członkiem kadry narodowej wioślarzy, teraz jednym z najlepszych instruktorów lekkiej atletyki w Polsce, Adamem Starzyńskim.

– Pamiętam moje pierwsze spotkanie z trenerem. Z początku miałam wrażenie, że nie traktuje mnie bardzo poważnie. Jakaś taka drobna kobietka wymyśliła sobie, że będzie teraz biegała. Trochę pewnie pobiega i przestanie. Zabawa się skończy, gdy zobaczy, że trenowanie nie jest proste, że to jednak wymaga wysiłku i poświęcenia.

Pan trener, jeśli tak myślał, był w błędzie. Kobiетка niczego sobie nie wymyśliła i treningi traktuje bardzo poważnie. Mamy program, mamy zegarek treningowy, mamy rozpisany plan każdego dnia i trenuję pięć razy w tygodniu.

Płacimy za treningi, więc gdybyśmy nie pracowali solidnie, to tak jakbyśmy sami siebie oszukiwali. Kiedy





**...jak człowiek  
już tego próbuje,  
to chce więcej**

stawiamy sobie cel, to wiemy, że aby ten cel osiągnąć, trzeba wykonać konkretną pracę. Ja tak działałem i Radek też tak działa.

Czasami ktoś zadaje mi pytanie: jak ty to robisz, że nie masz takich dni, że ci się nie chce iść na trening. Mam takie dni, ale mam cel, więc ubieram się, włączam zegarek, robię trening i wracam. Są treningi od jednej godziny i dziesięciu minut do czterech godzin. Kilkanaście godzin w tygodniu trzeba wybiegać.

### Najważniejszy jest cel

– Gdy Ela zaczęła trenować z trenerem, doszedłem do wniosku, że nie jestem w stanie wygrać z młokosami, którzy jeżdżą po górach na rowerach górskich. Postanowiłem znaleźć dyscyplinę dla dojrzałych mężczyzn, w której będę mógł powalczyć. I znalazłem brevety. Rajdy rowerowe na ultra długich dystansach, podczas których zawodnicy muszą pokonać z góry ustaloną trasę bez zorganizowanej pomocy z zewnątrz. Mogą podczas rajdu korzystać z napotkanych po drodze sklepów, barów czy miejsc noclegowych, bo nie liczy się miejsce na mecie, tylko przejechanie trasy w określonym limicie czasu.

To są generalnie wyścigi na dystansach od dwustu do tysiąca czterystu kilometrów i formuła jest taka, że jedzie się z kartą brevetową, czyli trzeba się zatrzymać na punktach kontrolnych, potwierdzić na karcie swoją obecność i jechać dalej. Pierwszy swój brevet na dystansie dwustu kilometrów przejechałem w Pomiechówku na rowerze górskim, bo szosowego jeszcze nie miałem. Po rajdzie mój trener powiedział: „Słuchaj, jak ty chcesz brevety traktować poważnie, to musisz sobie kupić odpowiedni rower”.

Kupiłem rower szosowy, zacząłem startować na coraz dłuższych dystansach i przyszedł pierwszy sukces.

W 2016 roku wystartowałem w najpiękniejszym w Polsce rajdzie dla solistów. To był dwudniowy rajd non stop „Pierścień tysiąca jezior”, na dystansie sześciuset dziesięciu kilometrów. Startuje się z okolic Olsztyna i jedzie okrężną trasą pomiędzy Lubomino i Sejnamami. Limit czasu przejazdu wynosił czterdzieści godzin. Przejechałem ten dystans w dwadzieścia jeden godzin i pięćdziesiąt siedem minut. Drugi zawodnik przejechał ten odcinek w czasie gorszym o prawie godzinę.

– Tu muszę się wtrącić – powiedziała pani Ela. – Często jest tak, że jak Radek jedzie, to ja siedzę przed komputerem i śledzę go na trasie, bo wszyscy uczestnicy mają nadajniki GPS. Wiem, z jaką jedzie prędkością, gdzie jest i na której pozycji. Podczas tego rajdu zadzwonił do mnie około 22.00. Po przejechaniu mniej więcej połowy trasy powiedział, że minął Sejny, jedzie do następnego punktu kontrolnego i tam się wycofa z rajdu, bo jest kompletnie przegrzany, odwodniony, boli go głowa i jest wykończony: „Jadę do Augustowa, tam mam ciuchy, wycofuję się i idę spać”.

Wysłuchałam go i mówię: „W porządku, jak chcesz, ale ty jesteś pierwszy”. W słuchawce zapadła cisza, a potem powiedział: „To ja się jeszcze zastanowię”. Potem około czwartej w nocy zobaczyłam go na trasie. Zadzwonił i zapytał, jaką ma przewagę.

– No cóż, samotny wilk poczuł krew i poszedł do celu – skwitował opowiadanie żony pan Radek. – Tak, to jest niesamowite. Jak już człowiek jedzie pierwszy, to mimo tego, że to nie jest wyścig, co dwie minuty się odwraca. Szczególnie w nocy. Chce wiedzieć, że nikt mu nie siedzi na plecach, że jedzie w bezpiecznej odległości od innych.

Gdy dojeżdżałem do mety, dojechał do mnie samochodem organizator rajdu Robert Janik i krzyknął: „Dawaj, dawaj, bo cztery minuty za tobą są już następni”. Jezu, gdy to usłyszałem, to tak się spałem, że tylko

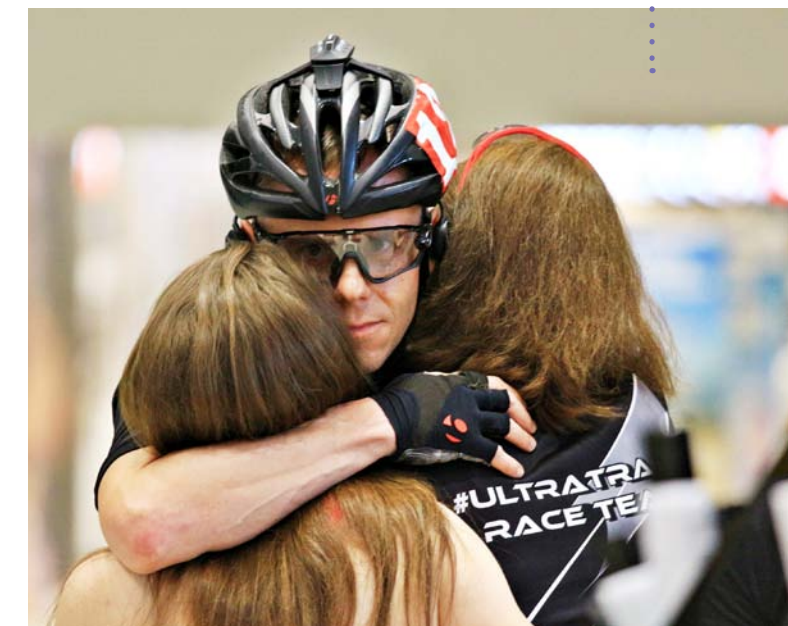
śmigiałem po wzniesieniach, a oni w śmiech. „Daj spokój, najbliższy jest czterdzieści minut za tobą”. I wtedy uszło ze mnie powietrze i spokojnie dojechałem do mety.

Pamiętam jeszcze, że gdy dojeżdżałem nocą do jakiejś miejscowości, na długiej prostej między jeziorami stał kibic. Jeden człowiek, który krzychał: „Pierwszy jesteś, pierwszy jesteś, dawaj, dawaj!”. Przeleciałem koło niego w pół sekundy i tyle mnie widział, ale go zapamiętałem.

Po tym rajdzie doszliśmy z Elą do wniosku, że będę jeździł na jeszcze dłuższych dystansach i wystartowałem w kultowym rajdzie Bałtyk-Bieszczady Tour. Jest to ultramaraton kolarski rozgrywany na trasie pomiędzy Świnoujściem a Ustrzykami Górnymi. Trasa imprezy liczy tysiąc osiem kilometrów, a uczestnicy rywalizują non stop. Limit czasu przejazdu wynosi siedemdziesiąt godzin. Tam jadą wszyscy najlepsi.

Po rajdach w Polsce zapisałem się bezmyślnie na Race Across Italy, rajd we Włoszech i pojechaliśmy rodzinnie, by zmierzyć się z prawdziwymi ultrakolarzami na ośmiuset kilometrowej trasie o przewyższeniu ponad dziesięć tysięcy metrów. To już był prawdziwy wyścig non stop. Jak człowiek tego próbuje, to chce więcej. Dlatego zrobiliśmy wariactwo i w ubiegłym roku pojechaliśmy do Austrii.

Race Around Austria to coroczne ekstremalne wydarzenia kolarskie w Austrii. Trasa o długości około dwóch tysięcy dwustu kilometrów i około trzydziestu tysięcy metrów pionowych prowadzi przez granicę w pobliżu dróg wokół Austrii – w jej granicach. Ja jechałem, a za mną lub przede mną Ela i nasi przyjaciele biegacze, jako moja grupa wsparcia. Było ciężko, ale daliśmy radę. Nigdy nie zapomniemy chwili, gdy na koniec jechaliśmy przez



miasto, a Austriacy stali i bili nam brawo. Potem wchodziliśmy na scenę. Była biało-czerwona flaga, a my staliśmy ze łzami oczach. Dla takich chwil warto się ścigać.

Za kilka dni startujemy w Polsce, w kolejnym rajdzie dla samotnych wilków. Ela wzięła udział w dwunastogodzinnym biegu w Dąbrowie Górniczej, bo chciała pokonać dystans dłuższy niż sto kilometrów, by zobaczyć, jak to jest, gdy pokonuje się takie odległości. Tym razem ja byłem na trasie i nad nią czuwałem. Cel, który sobie wyznaczyła, został osiągnięty. I na tym to wszystko polega. Trzeba tylko wyznaczyć sobie cel i do niego dążyć. ■

**...trzeba tylko wyznaczyć  
sobie cel i do niego dążyć**







# W strugach deszczu



To był prawdziwy pech. Miało być radośnie, sportowo i rodzinie, a było... mokro. Czarne chmury nadciągnęły nad Zamienie akurat w dniu otwarcia pełnowymiarowego boiska piłkarskiego i tylko na chwilę przeganiał je wiatr. Jak to się mówi w języku himalaistów, wszyscy czekali na okno pogodowe z nadzieją, że z pompą zaplanowana impreza jednak się uda, ale deszcz nie odpuszczał.



Był przygotowany piknik rodzinny, strefa zabaw z dmuchańcami dla dzieci, grill i kielbaski, a wieczorem wspólne oglądanie transmisji meczu Polska – Kolumbia. Niewiele z tych punktów udało się jednak zrealizować, choć najzagorzalsi kibice stawili się wieczorem przed telewizorem, by kibicować naszej reprezentacji.



W strugach silnego deszczu trwali najwierniejsi sportowcy. Na szczęście wypatrywane w chmurach okno pogodowe na chwilę się otworzyło i deszcz pozwolił przeciąć uroczystą wstęgę. Od tego momentu boisko jest czynne i po soczystej murawie może toczyć się niejedna piłka. Najmłodszy sportowcy od razu rozegrali krótkie spotkanie przy wsparciu wiernych kibiców. Były mniej lub bardziej udane rzuty karne, mecz seniorów SRS Zamienie – Osiedle Nowe Zamienie i można powiedzieć, że boisko przeszło tego dnia prawdziwy chrzest, a murawa została solidnie podlana.



I choć impreza przy słonecznej pogodzie mogłaby wyglądać zupełnie inaczej, plus jest jeden. Gminie przybył kolejny obiekt sportowy, a jak widać było po występach naszej reprezentacji na mundialu, kadry potrzebne jest solidne wsparcie, więc kto wie, może na boisku w Zamieniu urodzą się nowe piłkarskie talenty. ■



fot. z archiwum prywatnego Janusza Kamińskiego

*...jazda motocyklem  
otwierała tę część we  
mnie, która w innych  
wypadkach była  
zamknięta*



Motocykle pokochał jako trzynastoletni chłopak. Nie wiedział, że na zawsze staną się jego pasją. Nie przypuszczał też, że w dorosłym życiu odkryje jeszcze jedną pasję – samotne wyprawy w dzikie, niedostępne zakątki Kanady indiańskim canoe, którego szkielec Indianie robią z drewna jodły pokrytego brzoźową korą.

Spotkali się w bibliotece gminnej w Magdalence.

### Przyjaciel motor

– Przejechałem po świecie jakieś czterysta sześćdziesiąt tysięcy kilometrów. Jeśli równik ma trochę ponad czterdzieści tysięcy kilometrów, to pokonałem tę trasę ponad sześć razy, jeżdżąc po różnych krajach na różnych kontynentach. Przejechałem przez najgorętsze miejsce na ziemi, malowniczą Dolinę Śmierci w Kalifornii, przemierzałem pustynię i bezdroża Meksyku.

Po tylu latach przyjaźni z motocyklami porównałbym motocykl do konia. Tak jak kiedyś Indianie, czy podczas wojny ułani nawiązywali kontakt ze swoimi końmi, tak mój motor stał się moim przyjacielem.

Czułem go, słyszałem, jak mówi do mnie jego silnik. Gdy wjechałem w Dolinę Śmierci, był upał. Ponad pięćdziesiąt pięć stopni Celsjusza. Po półgodzinnej jeździe w tym piekle silnik mojego motocykla powiedział: „Nic się nie bój. Jest dobrze, jedziemy dalej. Ja to wytrzymam. – Jak ty to wytrzymasz, to ja też mogę” – odpowiedziałem i jechaliśmy dalej. Nie, proszę nie myśleć, że od gorąca pomieszało mi się w głowie. To była rozmowa bez słów. Bez słów też się rozumieliśmy.

Jazda motocyklem otwierała tę część we mnie, która w innych wypadkach była zamknięta. Melodia pracującego podczas jazdy silnika wywoływała moją nieodpartą chęć do śpiewania. Nigdy nie śpiewam. Nie umiem, nie mam odwagi, ale podczas jazdy to robię.

# JESTEM WIATR

– Miałem słabość do wielkich motocykli. Ostatnim był ciężki Suzuki Intruder 1400. Piękna maszyna z silnikiem V2 o pojemności skokowej 1360 ccm i pięciobiegową skrzynią biegów. Ważył 243 kilogramy i osiągał prędkość 160 kilometrów na godzinę – mówi Janusz Kamiński, który po trzydziestu siedmiu latach wrócił z Kanady do Lesznowoli.



Gdy jadę, również się modłę. Patrzę w niebo, bo bezkresne niebo mam nad sobą. Przeżyłem jazdy w ulewie i w gradowych burzach. Gdy niebo było bezchmurne i groźne od czarnych chmur, gdy było cicho i wiał pustynny wiatr. Zawsze daliśmy radę. Motocykl odkrył przede mną moje głęboko przed ludźmi skrywane wnętrze.

Z Suzuki Intruder 1400 zerwałem fabryczne znaki i nakleiłem w ich miejsce indiańskie amulety, łapacze snów. Nazwałem więc swój motocykl Dreamcatcher – łapacz snów. Najbardziej lubiłem jeździć bez hełmu, gdy pęd wiatru rozwiewał mi włosy.

Łapacze snów wymyślili plemienni Indianie, a ponieważ miałem z nimi bardzo bliskie kontakty, wiedziałem, że przypisywali tym amuletom tajemną moc ochrony przed złymi snami oraz wszelkimi negatywnymi mocami. Amulet składał się ze swobodnie zwisających piór, paciorków lub wstążek zamocowanych w sieci utkanej na okręgu. Każda z części miała swoją funkcję. Wierzono, że łapacz zawieszony nad posłaniem chronił przed marami sennymi. Złe sny miały być filtrowane przez sieć łapacza, by z pierwszymi promieniami słońca spływać swobodnie po piórach i przechodzić w niebyt.

Łapacze miały także być tarczą, chroniącą przed wszelakim złem, a okrągła obręcz symbolizowała zamknięty krąg życia. Ziemię i cztery strony świata. Ponieważ dobrze poznałem Indian, chętnie przyczepiłem amulety na swoim motocyklu. Na moim łapaczu snów.

### Kanadyjczyk

– To, że znalazłem się w Magdalence, jest wynikiem szeregu przypadków. Kiedy straciłem rodzinę, mój przyjaciel wybudował dom w Magdalence. Gdy umarł, zostałem na stałe wpisany w skład członków jego rodziny.

Z Polski uciekłem w 1978 roku. Nie chcę wracać do przykrych wspomnień, ale powiem tylko tyle, że miałem do wyboru dwa wyjścia. Zgodzić się na to, by po wojsku zostać funkcjonariuszem Milicji Obywatelskiej, albo z Polski uciec. Wiele rzeczy w życiu potrafiłem sobie wyobrazić, ale żeby zostać funkcjonariuszem milicji jakoś nie. Wybrałem drugie wyjście. Wyjechaliśmy z żoną na wycieczkę turystyczną z Orbisem do Londynu i nie wróciliśmy do Polski.

Mój tata był wtedy w Kanadzie i jak się dowiedział, że uciekniemy, to stanął na głowie, żeby nam pomóc i żebyśmy z Anglii mogli dostać się do Kanady.

Dziś z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że niczego z danej mi przez los szansy nie zmarnowałem. Przeciwnie. Do tego, co miałem, udało mi się coś dolożyć. Teraz, gdy wracam do Polski, nie przybywam z pustą torbą, z jaką wyjechałem. Wracam z sukcesem. Nie jest to sukces finansowy, choć nie narzekam. Jest to sukces natury metafizycznej.

Na początku, tak jak wielu Polaków na Zachodzie, pracowałem w Londynie na zmywaku. Zmywałem naczynia i zbierałem kufle po piwie w hotelowej restauracji. Robiłem to z wielkim wstydem, bo bałem się, że spotkam przy stoliku moich niedawnych kontrahentów. Przed ucieczką z Polski pracowałem w Centrali Handlu Zagranicznego Agromet Motoimport.

W Londynie mieszkaliśmy około roku, bo tyle trzeba było, by dostać kartę stałego pobytu w Kanadzie. Potem wyjechaliśmy do Kanady. Nasze małżeństwo nie wytrzymało jednak zagranicznej próby. Żona dała się uwieść narkotynom i każde z nas poszło własną drogą.







Ponieważ w Polsce skończyłem technikum budowlane ze specjalnością instalacje sanitarne, w Ontario zacząłem pracować jako hydraulik. Było to wówczas bardzo popłatne zajęcie. Nie będę udawał, że byłem mistrzem w tym fachu. Czułem się niepewnie, w każdym razie nie jak ryba w wodzie, raczej jak ryba na piachu.

Potem poszedłem na University of Western Ontario, skończyłem wydział nauk humanistycznych i dostałem tytuł Bachelor of Arts. Studiowałem psychologię i religie świata, które mnie tak zafascynowały, że wstąpiłem do seminarium.

Czego szukałem w seminarium? Jakby to filozoficznie nie zabrzmiało, odpowiem, że szukałem głębi życia. Nie zadawała mnie powierzchowna egzystencja, fakt, że według standardu dobrze zarabiam, więc mogę sobie żyć, jak chcę. Szukałem czegoś więcej, sensu i głębi.

Wydawało mi się, że znajdę to w seminarium. Pierwszy rok studiowałem w seminarium polskim w Stanach Zjednoczonych, a trzy pozostałe lata w Ontario. Okazało się jednak, że to nie jest to, czego szukałem. Opuściłem seminarium po skończeniu teologii tuż przed



święceniami. Zaczęłem studiować zarządzanie stresem i jego przewidywanie. Odbyłem też studia Master of Arts na uniwersytecie stanowym Lake Superior State University w Stanach Zjednoczonych i zostałem nauczycielem.

### Kapelan

– Po opuszczeniu seminarium nie wróciłem już do mojego zawodu i do pracy fizycznej. Mój opiekun duchowy poradził mi, abym zostałem szpitalnym kapelanem. Nie bardzo wiedziałem, o co chodzi i co miałbym robić, ale wytłumaczono mi moje zadania, dodając, że powinienem skończyć specjalne szkolenie, a dokładniej przejść półtoraroczny kurs na uniwersytecie w Toronto, w St. Michael College.

Odbyłem ten kurs, dostałem bardzo wysokie oceny i zostałem certyfikowanym kapelanem świeckim z uprawnieniami do pracy w szpitalach. Zaczęłem pracować i muszę powiedzieć, że znalazłem to, czego szukałem w życiu. Odnalazłem głębię.

Jeździłem do pracy siedemset kilometrów na północ od Toronto. Byłem oficjalnym kapelanem kościoła rzymskokatolickiego w kanadyjskich szpitalach. Przeżywałem każde spotkanie z chorym czy umierającym. Od tych ludzi wiele się uczyłem. Na uniwersytecie można zdobyć wiedzę, a od tych cierpiących, umierających ludzi uczyłem się mądrości życia. Uczyłem się tego, czego nie uczą na żadnym uniwersytecie.



W ten sposób czułem, że się ubogacam i że to mi daje coraz więcej radości. Nabyłem, a może miałem, tylko do czasu tych kontaktów z chorymi nie odkryłem, niezwykłą odporność psychiczną i emocjonalną, która pozwalała mi pracować na oddziale, na który karetki pogotowia przywoziły ludzi z nagłych wypadków.

Ta odporność pozwalała mi również pracować w szpitalu dla umysłowo chorych. Pracowałem w różnych szpitalach przez siedemnaście lat. Miałem tam grupę chorych, z którą się spotykałem raz w tygodniu i rozmawialiśmy o sprawach duchowych, metafizycznych. Nie rozmawialiśmy o ich chorobach, o objawach, o lekach, tylko rozmawialiśmy o tym, co jest w życiu najważniejsze, i szukaliśmy odpowiedzi na pytanie: „Kim jestem?”

Każdy chory, który był na oddziale psychiatrycznym, uważał, że jest nienormalny, i natychmiast tłumaczył dlaczego. Jestem nienormalny, bo mam różnego rodzaju iluzje. Jestem nienormalny, bo mam paranoje, bo jestem schizofrenikiem i tak dalej. A ja im tłumaczyłem, że ich zdiagnozowane choroby nie powodują tego, że przestają być ludźmi. Każdy z nich nadal był człowiekiem. Stworzeniem Bożym, stworzonym na obraz i podobieństwo Boże.

Doszliśmy w tych dyskusjach do wniosku, że choruje umysł, ale duch nie. I dopóki nasz duch jest zdrowy, to nie jest źle. I ci ludzie nabierali chęci do życia. Nabierali chęci do zażywania leków, do zrobienia czegoś dla siebie, do włączenia się w proces leczenia.

Te moje spotkania grupowe zaowocowały tym, że w Kanadzie zrobiło się o nich głośno i któregoś dnia w 2007 roku dostałem zaproszenie, by wygłosić wykład na temat duchowości i chorób psychicznych na międzynarodowej konferencji w Ottawie.



## ...od tych cierpiących, umierających ludzi uczyłem się mądrości życia

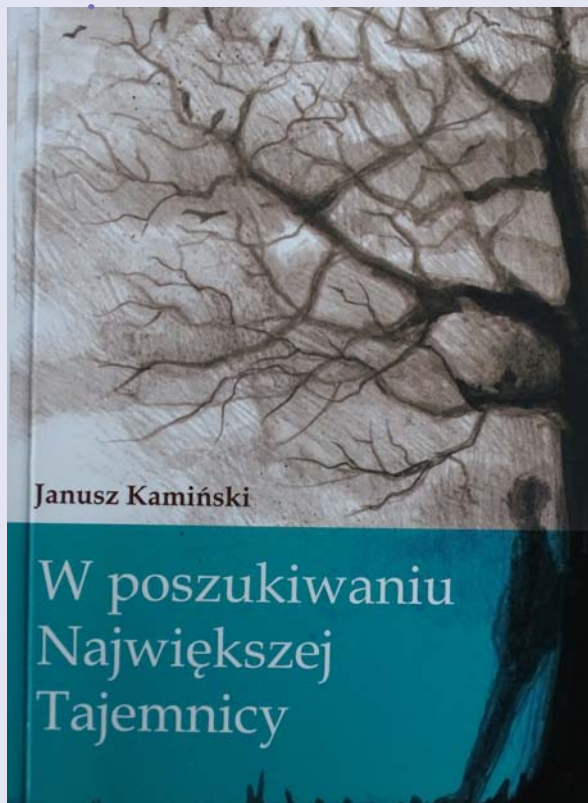
Po dwóch latach znowu dostałem zaproszenie do wygłoszenia wykładu i jego temat wymyśliłem razem z moimi chorymi. Brzmiał on: „Mój umysł i moje ciało są chore, ale mój duch jest zdrowy i dlatego mój umysł i ciało podążają za tym zdrowym duchem w nadziei, że też wyzdrowieją”.

### Psuja

– Kiedyś w jednej z moich grup pojawił się młody człowiek. Nie wyglądał na chorego psychicznie. Choroby psychiczne, jeśli nękają człowieka przez kilka lat, mają swoje odbicie na jego twarzy. Dość łatwo to zauważyć. Mężczyzna słuchał w skupieniu tego, o czym mówiliśmy, ale kompletnie się nie odzywał. Tak samo się zachowywał, gdy przyszedł drugi raz. Gdy przyszedł po raz kolejny, zagadnąłem go: „Powiedz mi, o co chodzi, bo przychodzisz, widzę, że słuchasz, ale kompletnie się nie odzywasz. Jesteś, a zachowujesz się tak, jakby cię nie było. – Nie mogę się odzywać, bo jak się odezwę, to wszystko popsuję. – Jak to, popsujesz? Co tu można popsuć? – nie dawałem za wygraną. – Ja już tak mam, że wszystko psuję. Czego się nie dotknę, to zepsuję – upierał się przy swoim. – To na co ty chorujesz, że się tu znalazłeś? – drażyłem temat. – Nie wiem – odpowiedział. – Jak to, nie wiesz? Przecież lekarze musieli postawić jakąś diagnozę, skoro znalazłeś się w tym szpitalu. Od trzech tygodni jesteś na oddziale zamkniętym bez diagnozy? Coś mi się tu nie zgadza. Jak ty się tu znalazłeś? – zapytałem na koniec. – Policja mnie tu przywiozła – zaczął opowiadać. – Nigdzie nie mogę pracować, bo czego się dotknę, to zniszczę. Ostatnio pracowałem jako ślusarz. To był spory zakład. Pracowałem przy maszynach wielu ludzi. Każdy miał swoją maszynę. Ja też miałem. Pracowałem, pracowałem, ale to była taka nuda, że trudno było wytrzymać. Żeby to zmienić, żeby coś się zaczęło dziać, wrzuciłem do skrzynki z bezpiecznikami metalowy śrubokręt. Dopiero zaczęło się dziać! John, nie masz pojęcia, co to się działo! – opowiadał z błyskiem w oczach. – Najpierw poszedł snop iskier, potem coś walnęło, światło zgasło i wszystkie maszyny stanęły. To dopiero było wydarzenie! Przyleciał szef i wyrzucił mnie na zbity pysk. Gdy mu powiedziałem, że muszę zdać klucze i narzędzia, krzyknął, że dzwoni po policję. Przyjechali, zakuli mnie w kajdanki, wozili po mieście, bo nie wiedzieli, co ze mną zrobić. Wreszcie zadzwonili do swojego przełożonego, a on powiedział: Odwieźcie go do szpitala na psychiatrię. I to wszystko”.

Skończył i zapytał, co ma ze sobą zrobić. Pytał mnie ze łzami w oczach, a ja musiałem wyjść i nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Obiecałem, że powiem mu, gdy się znowu spotkamy.





Janusz Kamiński

## W poszukiwaniu Największej Tajemnicy

Ale ponieważ nie chciał mnie puścić i nalegał na odpowiedź, na odczepnego powiedziałem: „Musisz znaleźć taką pracę, gdzie się coś niszczy. Na przykład w jakiejś kompanii, która burzy budynki – przyszło mi do głowy. – O tym nie pomyślałem” – przyznał, a ja mogłem odejść.

Następnego dnia na oddziale go nie spotkałem. Pielęgniarka powiedziała, że dostał przepustkę i poszedł szukać pracy. Za kilka dni znowu go nie zastałem, bo szukał pracy. Gdy przyszedłem na oddział kolejny raz i go nie było, dowiedziałem się, że pracę znalazł.

Po jakichś czterech miesiącach w moim biurze odezwał się telefon. To dzwonił on: „John, nie pamiętasz mnie? Mówiłeś, że bym poszukiwał sobie pracy, gdzie będę mógł burzyć domy. Znalazłem ją i chcę cię zaprosić na lunch”.

Spotkaliśmy się w luksusowej restauracji. Powiedział mi, że w swoim życiu jeszcze nie miał tyle pieniędzy, ile teraz zarabia. Znalazł kompanię, która zajmuje się wyburzaniem. Kiedy przyszedł pierwszy raz do pracy i dostał ciężki młot, spytał, czy nie mają drugiego.

„A po co ci drugi? – zapytał go szef. – Jak to, po co? Przecież mam dwie ręce”. Dostał drugi młot i jak zaczął tłuc, to dali mu nadgodziny.

„Teraz jestem na takim kursie, po skończeniu którego będę obsługiwał dźwig, który ma na łańcuchu kilkutonową kulę do burzenia

### ...dopóki nasz duch jest zdrowy, to nie jest źle

ścian. To dopiero będzie psucie – powiedział z błyskiem w oku. – Jak walnę kulą w ścianę, to się pół domu przewróci. Nareszcie jestem szczęśliwy”.

Opowiadam o tym dlatego, że to ilustruje, jakie zmiany przez przypadek mogą zajść w człowieku. On mi dziękował, a ja wiedziałem, że jego szczęście to nie moja zasługa. To zasługa Tego, co nad nami. Zasługa Siły Wyższej.

Spotkanie z tym chorym, a także z innymi, których spotkał na swojej drodze, Janusz Kamiński opisał w książce *W poszukiwaniu Największej Tajemnicy*, którą zadedykował „Wszystkim cierpiącym – z różnych powodów – by potrafili z pokorą zaakceptować chwilę obecną i nigdy nie przestali szukać mądrości zawartej w trudno dostrzegalnych znakach czasu oferowanych im przez Największą Tajemnicę Życia...”.

#### Wśród Indian

– Pracując w szpitalach, kilka lat spędziłem wśród amerykańskich Indian, poznając ich kulturę, duchowość i mity – mówi pan Janusz. – Spotkałem ich w 1997 roku i tak mi przypadli do serca, że Indianie plemienia Ojibway, którzy są trzecią najlicniejszą grupą Indian w rejonie Wielkich Jezior, przyjęli mnie do swojego grona. Przeszedłem u nich wszystkie stopnie wtajemniczenia.

Indianie Ojibway nie szkolą ludzi. Oni ich bez przerwy obserwują. Jak dostrzegą coś w człowieku, wołają delikwenta i mówią mu, co zaobserwowali i co z tego wynika. Stałem kiedyś przed taką radą starszych i dowiedziałem się, że z ich obserwacji wynika, że zasługuję na moje duchowe imię – Wiatr.

Aby je dostać, musiałem przejść przez różne rytuały, właściwe dla kolejnych stopni wtajemniczenia. Dla fajki pokoju, dla bębna z niewyprawionej skóry czarnego niedźwiedzia, który jest bębniem uzdrowiciela, i dla czwartego, najwyższego stopnia, jakim jest *vision guide* (przewodnik wizji). Przyłgnęło do mnie, że jestem uzdrowicielem, bo Indianie, z którymi spotykałem się w szpitalu, uznali mnie za uzdrowiciela.

Każdy z tych stopni wymagał wiedzy, którą nabywałem, mieszkając w rezerwach i ucząc się indiańskiej tradycji i duchowości. Jedną z takich ceremonii, przygotowujących do najwyższego stopnia wtajemniczenia, polegała na tym, że musiałem odbyć cztery dni i cztery noce ścisłego postu w kompletnej ciszy. Miałem na sobie wielki koc zakrywający oczy i siedziałem samotny w namiocie, leżąc na trawie, przy palącym się wiecznym ognisku. Mogłem przejść z namiotu do ogniska i z powrotem, uchylając tylko na tyle koc, żeby widzieć ogień i to, co jest pod stopami.

Podczas tej ceremonii, wbrew temu, co sądziłem, przekonałem się, że mogę wyłączyć kompletnie moje myśli, nie myśleć o niczym.



### ...Indianie plemienia Ojibway przyjęli mnie do swojego grona

O Indianach mógłbym opowiadać długo, ale wiem, że i tak wszystkiego bym nie powiedział. Dlatego na koniec powiem, do czego doszedłem w czasie mojej wędrówki po świecie i po rozmowach z ludźmi, których na swojej drodze spotkałem.

Człowiek może spotkać osobiste szczęście tylko na drodze własnego powołania, ale też tylko wtedy, gdy sobie to powołanie uświadomi. Tak jak ten mój pacjent, którego powołaniem było niszczenie. ■

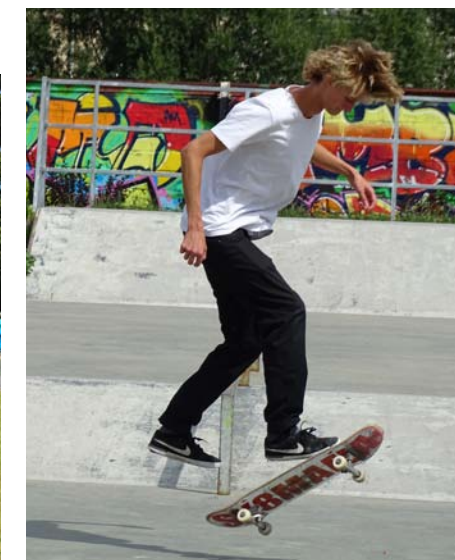






# Rolki dla każdego

Jazda na deskorolce łatwa nie jest, ale jazda na deskorolce po skateparku z wykorzystaniem wszystkich elementów architektonicznych jest jeszcze trudniejsza. Dobrze wtajemniczeni doskonale wiedzą, co znaczą takie słowa jak: „flipy”, „graby”, „lipy” czy „manuale”. Dla mniej wtajemniczonych to prawdziwa chińszczyzna. Trików na deskorolce jest wiele, a nauka ich wymaga przede wszystkim odwagi i cierpliwości.



W ubiegłym roku Centrum Sportu w Gminie Lesznówola zorganizowało po raz pierwszy zajęcia z nauki jazdy na deskorolce i rolkach dla wszystkich chętnych. A ponieważ akcja cieszyła się powodzeniem, również w tym roku najmłodsi mogli pod czujnym okiem doświadczonych kolegów odkrywać kolejne stopnie wtajemniczenia na skateparku obok szkoły w Nowej Iwicznej i przy Centrum Sportu w Mysiadle.

Wszystkim przyświecało jedno hasło: „Będzie jazda hardcorowa, kiedy jest bezpieczna głowa”. Dlatego kaski i ochraniacze odpowiednio przykrywały głowy, chroniły nadgarstki, łokcie i kolana uczestników zajęć.

Najpierw krótka rozgrzewka, a potem krok po kroku można było zacząć się coraz bardziej rozpędzać. I choć początki nie zawsze do łatwych należały, już po jednych zajęciach widać było satysfakcję z pierwszych pewnie przejechanych metrów. Z nauką jazdy na rolkach i desce jest tak, jak z nauką chodzenia. Powoli każdy dojdzie do perfekcji. A jak już ją osiągnie, to pozostanie czysta radość z uprawiania tego sportu. ■



# Dom pod bocianem

Prysłowie mówi: „Szczęśliwy dom, gdzie boćki są”, a ludzie wierzą, że bociany zakładają gniazda w gospodarstwach dobrych, porządnych gospodarzy. I tej wersji będziemy się trzymali.



*...domek był drewniany, niewielki, kryty słomianą strzechą*

Z bocianem było tak. Na gniazdo wybrał sobie komin domu państwa Elżbiety i Stanisława Benzów w Wólce Kosowskiej. Kiedy zabrał się do budowania gniazda, pan Stanisław kupił betonowy słup, taki, jaki przy drogach stawiają elektrycy, zamontował na szczycie konstrukcję ułatwiającą budowanie gniazda i zaproponował bociano- wi inną lokalizację. Bocian się obraził i odleciał.

Zmartwił się pan Stanisław, bo oczami wyobraźni widział gniazdo z bocianią rodziną górujące nad domem, a tu taki zawód. Bocian jednak sprawę widać przemysłał, bo przyleciał, dokładnie obejrzał nowe miejsce i zabrał się do budowy gniazda. Wkrótce w bocianim gnieździe pojawiły się małe i teraz wszyscy są szczęśliwi. Poznajmy zatem państwa Benzów, bo przecież nie wszyscy mają dom pod bocianem.

## Dawne czasy

Prawdę mówiąc, gdyby jakiś bocian chciał wiele lat temu wybudować gniazdo na kominie chaty, w której mieszkali rodzice pani Elżbiety, pewnie by nie miał szans, bo domek był drewniany, niewielki, kryty słomianą strzechą, a komin może dobry na gniazdo dla kawki, ale nie dla bociana.

– Moi rodzice, Zuzanna i Marian Mędrzyccy, przyjechali do Wólki Kosowskiej z Tarczyna. Babcia mojego ojca, przedwojenna dyplomowana akuszerka, była kobietą majątną i kochała dzieciom dawać – wspomina

pani Elżbieta. – Pomagała, jak mogła. Moja mama odziedziczyła ziemię po swojej mamie i rodzice zaczęli gospodarzyć od zera.

Ojciec posadził drzewa owocowe, mieli zwierzęta gospodarskie i prowadzili gospodarstwo rolne. Siali zboża, sadzili ziemniaki i uprawiali warzywa. Gdy zaczęły powstawać kółka rolnicze, ojciec był w komisji rewizyjnej i pilnował, żeby broń Boże ktoś mniej godzin nie zapisał, niż faktycznie maszyny pracowały. Taki był.

Lubiłam wieś. Lubiłam ciszę, jaka tu była, zboża, spokój, jaki tu panował, bo przecież żadnego ruchu nie było. Nawet tę drogę na Szamoty, choć mówiło się o niej: „Ech, ta droga”.

Inaczej było z panem Stanisławem. Nie pochodził z gospodarstwa.

– Pracowałem w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego na Okęciu i robiłem samoloty. Mieszkałem w Warszawie. Do szkoły podstawowej chodziłem jeszcze na Raszyńską. Potem z rodzicami wyemigrowałem do Stefanowa. W życiu nie myślałem, że będę rolnikiem.

*...z Elą poznaliśmy się na wiejskiej zabawie, bo w czasach naszej młodości wiejskie zabawy były modne*

Z Elą poznaliśmy się na wiejskiej zabawie, bo w czasach naszej młodości wiejskie zabawy były modne.

– Poszłam na tę zabawę, choć nie powinnam, bo miałam wtedy piętnaście lat – wyznaje pani Ela. – Lubiłam się pokazać, bo moja mama zawsze mnie ładnie ubierała. Miała koleżankę, która pięknie szyła. Potem sama się nauczyłam szyć i wymyślałam różne fasony. To mi po mamie zostało do dziś. Dalej wymyślam fasony, choć ze względu na oczy już nie szyję.

fot. z archiwum prywatnego E. i S. Benzów



– Chodziliśmy ze sobą dość długo i w końcu wzięliśmy ślub – mówi pan Stanisław. – Rok po ślubie zamieszkaliśmy w Warszawie i na dwadzieścia lat opuściliśmy Wólkę Kosowską. Nie, żeby całkiem. Na soboty i niedziele przyjeżdżaliśmy do rodziców, bo w gospodarstwie zawsze było coś do roboty i trzeba było im pomagać.

Kiedy teściowie osiągnęli wiek emerytalny, postanowili przepisać gospodarstwo na dzieci. Ela miała jeszcze siostrę, ale siostra o gospodarstwie nawet słyszeć nie chciała. Szczerze mówiąc, my też nie bardzo kwapiliśmy się do tego, by zająć się rolnictwem. Sytuacja zaczęła się nieco komplikować, bo zgodnie z prawem było coś za coś. Rodzice, żeby mieć emeryturę, musieli się pozbyć ziemi. Był nawet taki pomysł, żeby to wszystko sprzedać, ale po pierwsze, nie bardzo wówczas było komu, po drugie – ceny ziemi były bardzo niskie.

Moje córki mówiły: „Babcu, nie sprzedawaj gospodarstwa. My tu będziemy pracowały, będziemy przyjeżdżały tobie pomagać”. Koniec końców mama gospodarstwo przepisała nam. Ale żebyśmy mogli ziemię odziedziczyć, musieliśmy z Elą przedstawić papiery, że mamy rolnicze uprawnienia. Skończyliśmy odpowiednie kursy i formalności stało się zadość. Odziedziczyliśmy gospodarstwo i stuletni domek, który z czasem spychacz zrównał z ziemią, a my postawiliśmy mały, tymczasowy budynek.



## Na swoim

Wielokrotnie w „mojej Lesznowoli” przedstawialiśmy ludzi, których losy potwierdzały prawdę, że w sztuce życia byli obsadzani w różnych rolach, jakby wbrew swojej woli. Nagle musieli podejmować decyzje, by porzucić dotychczasowe zajęcia, zapomnieć o marzeniach i podjąć wyzwanie, jakie stawiało przed nimi życie. Państwo Elżbieta i Stanisław Benzowie są tego kolejnym przykładem.

Nie chcieli być rolnikami, mieszkali w Warszawie, mieli swoją pracę i nagle zostali właścicielami ponad pięciohektarowego gospodarstwa w Wólce Kosowskiej.

Czy mieli pomysł na życie? Nie. Wiedzieli jedno. Nie mogą mieszkać w drewnianej, krytej słomą chacie, nie chcą siał zboża, sadzić ziemniaków i uprawiać warzyw.

Zgodnie z ówczesnym trendem poszli w wiśnie. Zasadzili wiśniowy sad. Półtora tysiąca drzewek wiśni, do tego osiemset śliw.

– Wólka Kosowska była wtedy inna. Piach i drogi donikąd – wspomina pan Stanisław. – Ciągle jeździłem do elektrowni, bo prąd nam był potrzebny, a przewody były tak liche, że bez przerwy się zrywały i nie było światła. Gdy była awaria, sąsiedzi tylko patrzyli zza płotów, czy Benza już jedzie do elektrowni, bo przecież telefonów nie było. Zresztą, żadnych mediów tu jeszcze nie było, ale żeby były, trzeba było zacząć działać.

Wtedy zacząłem działać społecznie. Założyłem komitet gazyfikacji wsi. Weszła do niego nauczycielka z naszej czteroklasowej szkoły (niestety, nazwiska nie pamiętam) i pan Zygmunt Kostana, który zbierał pieniądze. Zrobiliśmy projekt i wystąpiliśmy do gminy. Sołtysem była wtedy Marysia, mama Janeczki Tomery, obecnej pani sołtys. Pamiętam, jak namawiałem Janeczkę, żeby po mamie została sołtysem. Mówiłem: „Weź to po mamie. Kontynuuj rodzinną tradycję, a my ci będziemy wszyscy pomagali”. I udało się ją namówić.

Gdy w Wólce zaczęły powstawać centra handlowe i kopano studnie głębinowe, przeforsowaliśmy z naszymi radnymi, by pociągnąć do nas wodociąg z Walendowa. Pamiętam, że gdy zapadła decyzja, była zima, mróz i szybko trzeba było położyć rury. Społecznie kopalśmy rowy, żeby nie czekać do wiosny. I mieliśmy wodę.

Potem w Kosowie zaczęto budować oczyszczalnię ścieków. Gdy tylko ją wybudowali, założyłem społeczny komitet budowy kanalizacji. Zrobiliśmy projekt, kosztorys i doszliśmy do wniosku, że będzie taniej, gdy rury nie pójdą środkiem ulicy, tylko za domami, które stały po jej obu stronach. Nie będzie trzeba niszczyć i potem odbudowywać nawierzchni, a i ogródki, które były przed domami, ocaleją. I tak się stało. Roboty przebiegły bardzo sprawnie i już mieliśmy kanalizację. Muszę podkreślić, że bardzo pomagała nam gmina. My robiliśmy sprawnie to, co powinien komitet, a oni to, co należało do gminy. Jak ludzie się zorganizują, to naprawdę wiele można zrobić – kończy opowieść pan Stanisław.



– A ja pracowałam wtedy w gastronomii w Warszawie – mówi pani Ela. – Jedna córka była w wieku szkolnym, a druga chodziła do przedszkola. Lokal na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Miodowej nazywał się Poziomka. Okna wychodziły na kościół świętej Anny i Plac Zamkowy. Lokal był samoobsługowy, a wpadali do niego piosenkarze, artyści. Przychodził też śp. Lucjan Kydryński, więc kierownictwo lokalu wymagało od pracowników kultury na wysokim poziomie. Dobrze zarabiałam, ale byłam już tą pracą zmęczona. Bez przerwy jeździłam na jakieś szkolenia.

W wolne dni, skoro świt przyjeżdżaliśmy do Wólki, by chronić wiśnie przed szpakami. Nie chodziło o to, że zjadały wiśnie, ale o to, że obsiadając chmurami te wątle drzewka, łamały gałązki.

Zauważyłam wtedy – wspomina pani Ela – jakie to inteligentne ptaki. Gdy mnie widziały, gdy wiedziały, że jestem, obsiadały siatkę ogrodzenia i czekały, aż zniknę. Gdy tylko wchodziłam do domu, całe chmury szpaków zwały się na drzewka. Wiedzieliśmy, że tocymy walkę z wiatrakami.



Pamiętam, byliśmy w Łazach u naszych znajomych, którzy zajmowali się produkcją kwiatów w namiotach foliowych. Weszłam do takiego namiotu i doznałam zauroczenia. Zobaczyłam przepiękne gerbery w różnych kolorach.

– To była gerbera z siewki, a nie z sadzonek. Każdy kwiat był inny – przypomina pan Stanisław.

– I oni zaczęli nas namawiać, żebyśmy postawili namioty i wzięli się za produkcję kwiatów. Ale namioty nam nie odpowiadały, bo wiedzieliśmy, że wiatr często zrywa folię, i postanowiliśmy postawić szklarnie.

Zaczelśmy od szklarni, która dziś jest najbliżej domu. Ponieważ brakowało nam pieniędzy, wzięliśmy na część inwestycji mały kredyt i posadziliśmy... nie kwiaty, tylko pomidory. To było w 1983 lub 1984 roku. Nie macie pojęcia, jak ja tę pracę przy pomidorach kochałam. Gdy wracałam z Warszawy, to szłam do szklarni wypić kawę, bo urzekał mnie zapach pomidorowych krzaków. Obrywałam dziczki i wdychałam ten wspaniały zapach. Pierwsze pomidory udały się nadspodziewanie. Nawet przez chwilę nie przypuszczałam, że można za nie dostać takie pieniądze. Ale drugie, jesienne nasadzenie, nie było już tak udane.

W porównaniu do pierwszego sukcesu zarobek był tak marny, że nasz znajomy skwitował to tak: „Wy chyba macie za dużo pieniędzy, za bogaci jesteście, że chcecie siedzieć w tych pomidorach. Weźcie się za uprawę gerbery”. Radził tak, bo miał gerbery w szklarni, a więc wiedział, co mówi.



**...zaczelśmy od szklarni, która dziś jest najbliżej domu**



## Idziemy w kwiaty

– Posłuchaliśmy i zamówiliśmy sadzonki gerbery. Cały dowcip polegał na tym, by sadzonki przysły na czas, bo jak się dostawa spóźni, to opóźni się sadzenie i będzie katastrofa. Czekaliśmy nerwowo. Gdy wreszcie doczekaliśmy się dostawy, najlepszy termin sadzenia już minął. Co mieliśmy zrobić? Sama z córkami sadziłam małe sadzonki sztuka po sztuce, bez większej nadziei na powodzenie – opowiada pani Ela. –Znajomy też nas nie pocieszał, bo wiedział, że sadzimy za późno.

„Kto to słyszał, żeby gerberę sadzić we wrześniu” – mówił. Ponieważ nie mieliśmy żadnego doświadczenia, doradzał nam specjalista z instytutu w Skierniewicach. Gdy gerbery wyrosły, wszedł któregoś dnia do szklarni i prawie go zatkało: „Jeszcze nigdy nie widziałem tak pięknej produkcji zimą” – powiedział.

– Gerbera na zimę przysypia, tu w szklarni prądu nie było – dodaje pan Stanisław – a ona rosła, aż szumiało. Wysyp gerbery był przez całą zimę.

Ponieważ tak pięknie się udało, poszliśmy w szklarnie. Dostawiliśmy drugą i trzecią, i to bez żadnych kredytów. Mały kredyt, który zaciągnęliśmy na budowę pierwszej szklarni, szybko został spłacony i budowaliśmy za swoje.





Mieliśmy różne propozycje dokupienia ziemi, ale nie skorzystaliśmy. Zostaliśmy przy tym, co dostaliśmy od rodziców.

Wszystkiego uczyliśmy się od podstaw. Dziś człowiek zadzwoni po specjalistę i nie musi się martwić, a ja musiałem zdobyć wiedzę i o chorobach roślin, i o szkodnikach, i nauczyć się środków ochrony roślin. Gdy przyjeżdżali tu do nas Holendrzy, to nie mogli uwierzyć, że my to wszystko sami prowadzimy.

Przez dziesięć lat produkowaliśmy gerbery, potem przez następne dziesięć lat frezje, róże i na końcu lilie, tulipany, irysy. Jeździliśmy na giełdę kwiatową i sprzedawaliśmy kwiaty.

Do samej emerytury bardzo ciężko oboje pracowaliśmy. Jak trzeba było z kwiatami jechać do Holandii, to wsiadałem na tira i jechałem – mówi pan Stanisław. – A ja do drugiej w nocy układałam w pęczki tulipany albo frezje. Nikt nie umiał tak układać pęczków jak ja. Robiłam to lepiej od naszej pracownicy – mówi pani Ela.

– Jak mi kiedyś znajomi powiedzieli, żebym pojechała z nimi na wycieczkę za granicę, to pomyślałam, że chyba nie wiedzą, do kogo to mówią. Czy ja mam czas, żeby zostawić kwiaty i jechać w świat? To było po prostu niemożliwe.



*...tego, co mi dały podróże, nie nauczyłaby mnie najlepsza uczelnia świata*

### Wędrowki po świecie

– Co nie było możliwe kiedyś, stało się możliwe, gdy gospodarstwo przekazaliśmy córce. Pierwszą podróż w świat odbyliśmy autokarem do Rzymu. Żył wtedy jeszcze nasz papież Jan Paweł II, ale mszę, na którą trafiliśmy, odprawiał w bazylice kardynał Ratzinger. Zwiedzanie zaczęliśmy od Wenecji, a skończyliśmy w mieście świętego Franciszka, w Asyżu.

Byliśmy pod Monte Casino i złożyliśmy kwiaty na grobie generała Andersa. Najpiękniejsze do oglądania były wszystkie obiekty sakralne. Gdy człowiek tam wchodził, przez dobrą chwilę nie wiedział, gdzie jest, w jakim świecie się znalazł, bo wszystko od podłogi do sufitu było olśnieniem. Ja to tak odbierałam – wspomina pani Ela.

– Bardzo lubię długie loty. Pamiętam, jak leciałam do Indii. Grupa była bardzo mała i mieliśmy wspaniałego przewodnika. Samolot z Okęcia najpierw wylądował w Turcji, w Ankarze. Czekał na samolot do Delhi i zobaczyłam na lotnisku gościa, który w ubraniu wszedł do takiej bani i według mnie prał na sobie ubranie.

Jedni się modlili, inni gimnastykowali, a ten prał to, co miał na sobie. Cały czas zastanawiałam się, jak ten facet taki mokry będzie leciał dalej. Zawsze to

opowiadałam, aż w ubiegłym roku córka mi zagadkę odszyfrowała. Powiedziała: „Mamo, ten gość nie był mokrzy. On wszedł między worki foliowe z wodą i masował przed lotem swoje ciało, a nie prał ubranie”. I rzeczywiście. Przecież, gdy skończył się prać, był suchy.

Gdy wylądowaliśmy w Delhi i opuściłam lotnisko, przeżyłam szok. Była noc, czekaliśmy na autobus. Na chodniku przy lotnisku razem z psami spały małe dzieci. Na drugi dzień widzieliśmy bogactwo i zderzyliśmy się ze straszną biedą. Z zebrzonymi dziećmi, przed którymi ostrzegał nas przewodnik. Nie umiałam obok nich przejść, żeby nic nie dać.

Potem poleciliśmy do Bangkoku, Kambodży i Wietnamu. Tego, co mi dały podróże, nie nauczyłaby mnie najlepsza uczelnia świata. Bardzo się zmieniłam, obserwując ludzi, poznając ich problemy, widząc ich szczęście i rozpacz. Do wielu spraw nabrałam dystansu.

– Prawdziwe jest powiedzenie, że podróże kształcą – podsumował opowieść żony pan Stanisław. – Byliśmy w czterdziestu sześciu krajach, mogliśmy wiele zobaczyć i wiele się nauczyć. Kto wie, jak wyglądałoby nasze życie, gdybyśmy nie przejęli gospodarstwa w Wólce Kosowskiej? A tak, mamy co wspominać. ■



fot. z archiwum prywatnego P. Wang

# HISTORIA OPTYMISTYCZNA

*...urodziłem  
się w Hebei,  
w północnej pro-  
wincji Chińskiej  
Republiki  
Ludowej*

Chińskie przysłowia mówią o życiu wiele. „Gdy ludzie są sobie przyjacielscy, nawet woda staje się słodka”. „Jeśli się nikogo o nic nie prosi, wszyscy wydają się uczynni”. „Jeśli to nie przeznaczenie, to nawet jeśli dwoje się spotka, nie zaznajomią się”. „Kto nie myśli o jutrze, będzie miał kłopoty, zanim dziś się skończy”. Spróbujmy popatrzeć na nie przez fragment życia jednego z mieszkańców naszej gminy.

Piotr Wang jest młodym, wykształconym Chińczykiem. Nie przyjechał do Polski, by zrobić majątek. Przyjechał, by zrealizować swoje marzenia. Ma dwa. Chciałby, żeby polskie produkty były znane w jego ojczyźnie. Według niego są dobre i mają odpowiednią cenę.

Drugie marzenie, na realizację którego potrzeba więcej czasu, jest całkiem z innej dziedziny. Chciałby zbudować dom opieki dla bezdomnych dzieci i dla samotnych starych ludzi. Wie, jak to jest w jego ojczyźnie. Rodzice są coraz starsi, coraz bardziej samotni, a zapracowane dzieci nie mają czasu, żeby się nimi zajmować.

– Przykro jest patrzeć na smutek starych ludzi i chciałbym zrobić wszystko, żeby im te ostatnie lata życia osłodzić. Wypełnić treścią – mówi pan Piotr, którego krótką historię życia w Polsce chcemy opowiedzieć.

## **Dziecięce marzenia**

Urodził się w Hebei, w północnej prowincji Chińskiej Republiki Ludowej, na terytorium której leży Pekin, stolica Chin. Z miejsca urodzenia do stolicy jest około stu kilometrów.

– Jakies dziesięć lat temu o Polsce wiedziałem tylko tyle, że jest taki kraj w Europie – przyznaje Piotr.  
– Ponieważ interesowałem się muzyką, bo mój tata grał na wielu instrumentach, wiedziałem, że w tym

kraju urodził się znany na świecie i w Chinach wielki kompozytor, Fryderyk Chopin. Jako katolik wiedziałem też, że papież Jan Paweł II jest Polakiem. To była cała moja wiedza o polskiej kulturze, gospodarce, o polskiej historii. Nie znałem ani słowa po polsku.

W chińskiej szkole nauczyliśmy się historii. Wiedzieliśmy, że wśród wielu krajów na świecie jest taki kraj jak Polska, ale nic więcej. W Chinach studiowałem pedagogikę, a później uczyłem języka chińskiego obcokrajowców. Poznałem wtedy fajnych ludzi z wielu krajów i z wieloma związały się przyjaźnie. Niestety, nie było wśród moich uczniów Polaków. Najbliżej Polski byli Niemcy.

Od dziecka marzyłem, żeby wyjechać z Chin, żeby studiować i mieszkać za granicą. Któregoś dnia przy piwie zwierzyłem się z tych marzeń moim uczniom i wtedy koledzy z Niemiec powiedzieli, że to żaden problem, że chętnie mi pomogą wyjechać z Chin, tylko muszę się zdecydować, dokąd chcę jechać i na jakiej uczelni chcę studiować.

Pamiętam, że wtedy podpowiedzieli mi dwie możliwości. Studia na uniwersytecie we Francji albo studia w Polsce na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, bo w tych krajach mieli znajomych, którzy mogli mi pomóc. Nie umiałem od razu odpowiedzieć, gdzie chcę jechać, bo nie

miałem żadnej wiedzy ani o tych uczelniach, ani o tych krajach. Powiedziałem, że pomyślę, poszperam w internecie i odpowiem.

No i zacząłem szukać informacji. Rezultat był taki, że Francję skreśliłem, ponieważ dowiedziałem się, iż jest tam bardzo dużo Chińczyków. Nie po to chciałem wyjeżdżać z Chin, żeby mieszkać wśród Chińczyków. Skoro miałbym mieszkać wśród swoich rodaków, to wolę już zostać w Chinach, niż szukać szczęścia we Francji.

Została mi Polska. Przeczytałem, że to bardzo ciekawy, piękny kraj i że Chińczyków jest w nim jak na lekarstwo. Miałem już zatem odpowiedź. Powiedziałem niemieckim kolegom, że wybrałem Polskę i Uniwersytet Jagielloński w Krakowie.

W rodzinie miałem jeszcze brata i dwie siostry, ale oni takich marzeń nie mieli. Rodzice z dystansem, a prawdę mówiąc, z wielką niechęcią podeszli do moich zamiarów. Wiedzieli, że mam dobrą pracę, przyzwoite zarobki, dziewczynę, z którą mógłbym się ożenić, więc nie bardzo rozumieli, czego ja w tej nieznannej Polsce chcę szukać. Co ja tam będę robił? Z czego żyć? Gdzie mieszkać? Martwili się o mnie i byli wyjazdowi przeciwni.

W chińskiej tradycji jest tak, że dzieci są dla rodziców ciągle dziećmi, bez względu na to, ile mają lat. Powinny być zawsze blisko domu,







blisko rodziców. I dlatego oni byli mojemu pomysłowi przeciwni. Moje postanowienie wyjazdu było jednak tak silne, że nic nie mogli poradzić. Niemieccy koledzy uruchomili swoje kontakty i załatwili potrzebne sprawy. Potrzebowałem tylko zakończyć swoje sprawy w pracy, kupić bilet i lecieć przez Moskwę do Warszawy w nieznaną Polskę.

#### **Witaj, Polsko**

– Leciłem w nieznaną. Nie znałem języka, nie znałem ludzi, nic nie wiedziałem o miejscu, do którego zmierzałem. Wylądowałem na Okęciu, z adresem nieznanego mi, mieszkającego w Krakowie Polaka, który był kolegą poznanych przeze mnie w Pekinie Niemców. Trochę to może skomplikowane, ale tak było.

Wsiadłem w pociąg i pojechałem do Krakowa, gdzie na dworcu miał na mnie czekać ów Polak. Wsiadłem z pociągu, rozejrzałem się po peronie, ale nikogo, kto by na mnie czekał, nie zobaczyłem. Skierowałem

się do wyjścia, ale nie wiedziałem, na którą stronę z dworca wyjść. „Ja mogę wyjść na jedną stronę, a on może czekać po przeciwnej” – pomyślałem. Mój chiński telefon w Polsce nie działał, więc nie mogłem nigdzie zadzwonić.

Pamiętam, że to była sobota. Chodziłem wkoło, ale nikt się po mnie nie zgłaszał, więc wyjąłem zapisany na kartce adres, pod którym ten Polak mieszkał, i pomyślałem, że odnajdę go po adresie.

Zaczepiłem jednego przechodnia, drugiego, ale jakoś nie miałem szczęścia do kogoś, kto zna angielski, bo w tym języku się porozumiewałem. Wreszcie trafiłem na kogoś, kto mi powiedział, że ten adres jest na Starówce, a więc całkiem blisko, ale nie potrafił mi powiedzieć, jak tam trafić. Nie pozostało mi nic innego, jak wziąć taksówkę.

Taksówkarz popatrzył na kartkę z adresem, potem na mnie, pewnie chciał mi powiedzieć, że szybciej bym doszedł pieszo, niż on mnie tam

dowiezie, ale ponieważ obaj się nie rozumieliśmy, ruszył i jechał. Zatoczył jakieś wielkie koło po Krakowie i dowiózł mnie pod wskazany adres. Okazało się, że mój nowy znajomy był na dworcu, ale z zupełnie innej strony, więc nie mogliśmy się spotkać. Ucieszył się, że do niego trafiłem, ja też się ucieszyłem i zostałem u niego kilka dni, dopóki nie załatwiłem wszystkich formalności na uniwersytecie.

To był pamiętny kwiecień, dzień katastrofy prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem. Kończył się rok akademicki, więc naukę mogłem zacząć dopiero od października. W tym czasie zapisałem się na prywatne lekcje języka polskiego. Mieszkałem w akademiku. Po wakacjach zaczęły się studia i bardzo intensywna nauka polskiego. Przez pierwszy rok nigdzie nie pracowałem, bo nie znałem języka.

Chińczycy nie potrafią się tak od razu otwierać na ludzi, więc przez te pierwsze miesiące w Polsce byłem bardzo smutny i samotny.



Szybko poznawałem gramatykę, ale z mówieniem szło mi jak po grudzie. Tylko „dzień dobry”, „do widzenia” i „dziękuję” opanowałem bardzo szybko.

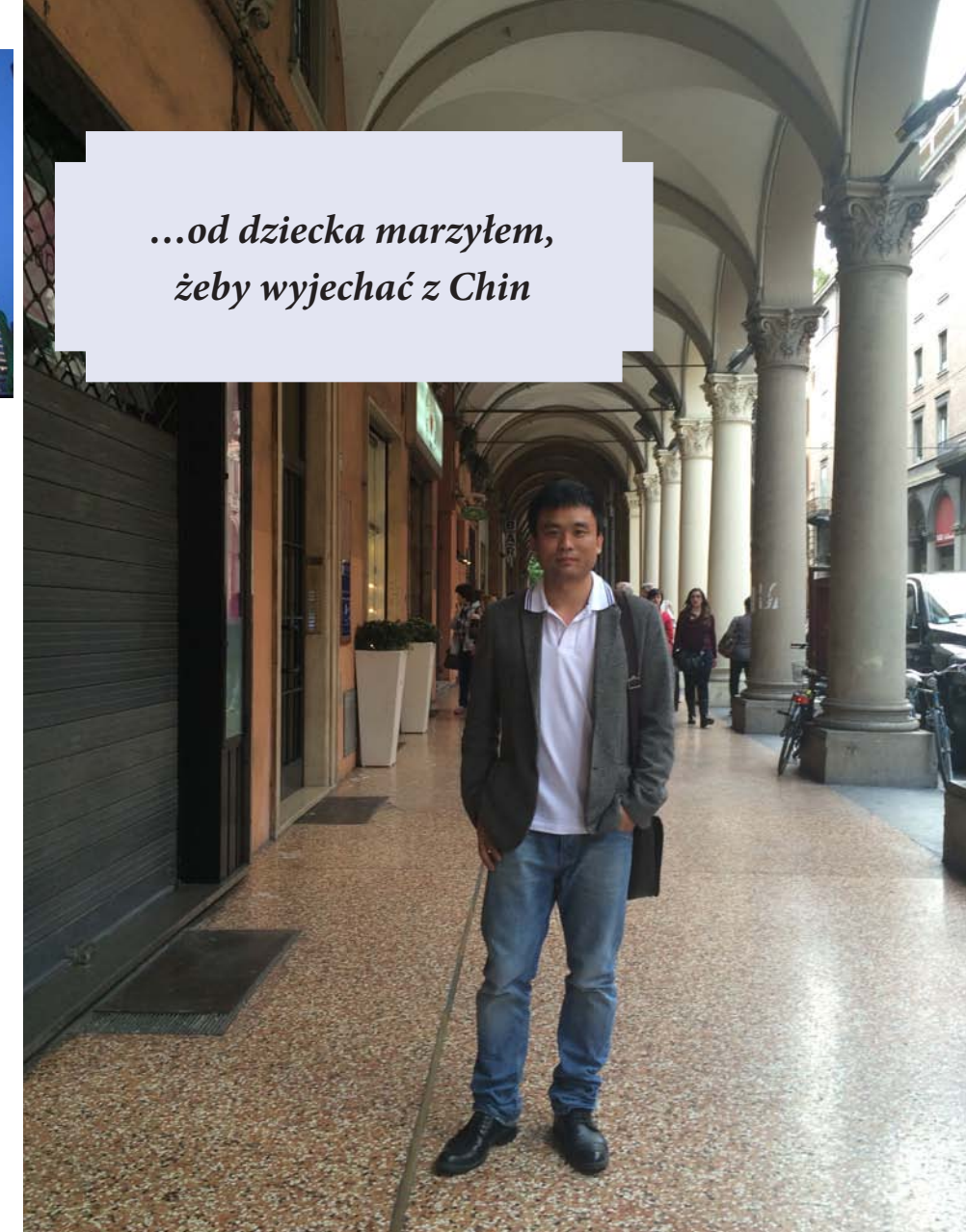
Koledzy w akademiku przekonywali mnie, że jak chcę mówić płynnie po polsku, to muszę się rozluźnić piwem albo alkoholem, ale jakoś mnie to nie przekonywało. Pomimo tego, że nie było mi łatwo, nawet przez moment nie pomyślałem, żeby wracać do domu, do Chin. Byłem przekonany, że przyjdzie taki dzień, w którym wszystko stanie się łatwiejsze.

Po roku prywatnej nauki języka polskiego zacząłem studia na uniwersytecie i to było jeszcze gorsze. Studiowałem filozofię i do dziś nie wiem, dlaczego wybrałem tak trudny kierunek. Język filozofii był jeszcze trudniejszy niż język polski. Chodziłem na wykłady, słuchałem i nie rozumiałem nic. Poprosiłem profesorów, żeby mi pozwolili na nagrywanie wykładów, żebym mógł sobie słuchać ich jeszcze raz i jeszcze raz w domu. Było trochę lepiej, ale tylko trochę. Nie mogłem liczyć na to, że zdam egzamin.

Po pierwszym semestrze poprosiłem, aby mi pozwolono zdawać egzaminy tylko ustnie i ku mojej radości uczelnia wydała zgodę. Byłem pierwszym Chińczykiem, który na UJ studiował filozofię, więc może dlatego potraktowano mnie tak łagodnie. A może profesorowie doszli do słusznego wniosku, że filozofia wykładana po polsku jest dla chińskiego studenta, który jeszcze nie opanował biegle języka polskiego, naprawdę bardzo trudna.

W kolejnych semestrach szło mi lepiej, choć zawsze powtarzałem sobie, że muszę siedzieć, muszę słuchać wykładów po kilka razy,

*...od dziecka marzyłem,  
żeby wyjechać z Chin*



żeby zrozumieć. Muszę czytać i choć jest mi bardzo smutno, muszę, bo nie ma innego wyjścia, jeśli chcę coś osiągnąć.

W Krakowie mieszkałem i uczyłem się przez trzy lata. Przez te trzy lata nie miałem pojęcia, że istnieje w Polsce jakaś Wólka Kosowska, w której mógłbym spotkać Chińczyków.

#### **Przeznaczenie**

– Po drugim roku studiów na wakacje leciałem do domu, do Chin. Na lotnisku Okęcie, ku mojemu zdziwieniu, spotkałem bardzo wielu Chińczyków. Zastanowiło mnie, skąd ich tak dużo. Kurczę, nie chciałem jechać do Francji, bo tam już było bardzo dużo Chińczyków. Wybrałem się do Polski, przez dwa lata w Krakowie spotkałem może

kilku rodaków, a tu nagle na lotnisku taka niespodzianka. „Skąd oni się tu wzięli?” – pomyślałem i zacząłem rozmawiać.

Dowiedziałem się wtedy, że pod Warszawą jest taka Wólka Kosowska, gdzie mieszkają, pracują i prowadzą swoje interesy Chińczycy. Z taką wiedzą i postanowieniem, że muszę tę Wólkę Kosowską zobaczyć, leciałem w 2013 roku na wakacje do domu.

Z rodzicami przez cały pobyt w Polsce utrzymywałem kontakt telefoniczny, więc wiedzieli, jak mi się w Polsce wiedzie, ale liczyli na to, że trochę tu pobędę i wrócę do Chin. Moi koledzy, którym nagle zniknąłem na dwa lata, pytali: „Gdzie byłeś? Co się u ciebie dzieje?”. A ja odpowiadałem, że ze mną wszystko w porządku i że teraz jestem w Polsce.





„Gdzie jesteś? Aha, w Holandii, o, tam jest fajnie – mówili. – Nie w Holandii, tylko w Polsce” – usiłowałem im tłumaczyć, bo w języku chińskim „Holland” i „Poland” brzmią bardzo podobnie, więc myśleli, że jestem w Holandii, a o tym kraju coś wiedzieli. Gdy wreszcie dotarło do nich, że jestem w Polsce, pytali: „A co to jest? Gdzie jest ta Polska?”

Z rodzicami, jak się dowiedzieli, że przyjechałem tylko na wakacje, też miałem – jak to się w Polsce mówi – przerażenie. Po pierwsze, byłem już dorosłym mężczyzną, a nie byłem jeszcze żonaty, co rodziców bardzo martwiło. Po drugie, miałem przed wyjazdem do Polski w Chinach dziewczynę i moi i jej rodzice już poczynili przygotowania do ślubu, a ja tu mówię o wyjeździe.

Moja sympatia była jedynaczką, więc wiadomo było, że jeśli się pobierzemy, to rodzice nie puszcza jej za żadne skarby do Polski. Przez dwa lata rozmawialiśmy o tym przez telefon i nie mogliśmy się dogadać.

Ja chciałem wracać do Polski, ona musiała zostać w Chinach, więc z planów małżeńskich zostały nici. Ani moi, ani jej rodzice nie mogli tego zrozumieć, tym bardziej że czuli się w jakimś sensie związani danym sobie słowem. Koniec końców, każde z nas postanowiło szukać szczęścia w życiu na własną rękę. Ona w Chinach, ja w Polsce.

Po wakacjach wróciłem do Polski. Postanowiłem zobaczyć Wólkę Kosowską, o której usłyszałem na lotnisku i zobaczyć, co tu robią Chińczycy. Przyjechałem i ponieważ mam w życiu trochę szczęścia, bardzo szybko, dzięki Bogu, znalazłem w Wólce pracę. Przez kilka miesięcy pracowałem w jednej z hal u pewnego Chińczyka jako sprzedawca zabawek. Byłem bardzo ciekawy, jak moi rodacy, którzy nie znają języka polskiego, dogadują się z klientami, jak prowadzą interesy, jak żyją.

Nikogo tu nie znałem. Wynajmowałem jakiś straszny kąt w chłopskiej chałupie, bo nie miałem z początku

pieniędzy, i od siódmej rano zaczynałem pracę. Po około dwóch tygodniach trafiła mi do ręki ulotka, że jakiś Polak szuka nauczyciela języka chińskiego. Przeczytałem to ogłoszenie i zadzwoniłem pod wskazany telefon. Praca była w Warszawie na kursach wieczorowych. Zgodziłem się. Rano do szesnastej pracowałem jako sprzedawca, a po południu przebieierałem się i od osiemnastej byłem nauczycielem. Mam z tego okresu bardzo dobre doświadczenia życzliwości Polaków.

Gdy wracałem zimą z mojej pracy w Warszawie, autobus dowoził mnie tylko do Janek. Stamtąd jakoś musiałem się dostać do Wólki Kosowskiej, a na samochód jeszcze nie było mnie stać. Wychodziłem na szosę krakowską i zziębnięty, czasem na deszczu czekałem, że ktoś się zatrzyma i podwiezie mnie do Wólki. Nigdy się nie zawiodłem. Zawsze znalazł się jakiś kierowca, który jadąc w stronę Krakowa, zatrzymał się i mnie zabierał. Dlatego w moim sercu jest dużo wdzięczności do Polaków. U nas,

w Chinach, jest to raczej nie do pomyslenia. Ludzie boją się ryzykować.

Potem podziękowałem sprzedawcy zabawek i zająłem się inną pracą. Zadzwonił telefon i jakaś pani mówiąca po angielsku zaproponowała mi pracę tłumacza w dużym prywatnym biurze księgowości w Katowicach. Nigdy nie byłem w Katowicach, więc propozycję przyjąłem. Spakowałem walizkę, bo taki był mój cały dobytek, i na trzy miesiące wyjechałem z Wólki do Katowic.

Chyba jednak Wólka Kosowska była moim przeznaczeniem, bo właściciel biura księgowości po pewnym czasie postanowił spróbować szczęścia w Wólce. Ponieważ wiedział, że ja tu pracowałem i miałem już jakieś doświadczenie w handlu, zaproponował mi, bym mu pomógł otworzyć sklep z torbami i walizkami. I tak się stało.

W jednej z hal otworzyliśmy sklep z galanterią skórzaną. Zapowiadało się, że będzie świetnie, ale mój partner nie miał czasu na zajmowanie się sklepem, jego żona też

i cały ciężar prowadzenia interesu spadał na mnie. Nie odpowiadał mi taki podział pracy, bo on podejmował decyzje, a jak były nietrafione, to pretensje miał do mnie i mnie obarczał odpowiedzialnością za niepowodzenia. Musieliśmy się rozstać i tak się stało.

Przez półtora miesiąca podróżowałem po Europie. Postanowiłem poznać świat. Byłem we Włoszech, w Niemczech, Holandii, Luksemburgu, na Węgrzech, w Czechach i myślałem, co mam robić dalej. Gdy wróciłem do Wólki, już wiedziałem. Poznałem Magdę, Polkę, która bardzo dobrze znała język chiński. Ona nie miała kapitału, ja nie miałem kapitału, ale razem mieliśmy tyle, by otworzyć biuro tłumaczeń. Pracujemy razem już cztery lata i małymi kroczkami pniemy się w górę.

Ja nie potrzebuję być bogaty. Chcę być zdrowy, szczęśliwy, mieć rodzinę i żyć spokojnie na pewnym poziomie. I jak na razie wszystko wskazuje na to, że to właściwa droga, bo poznałem Kamilę, Polkę, któ-

ra już niedługo będzie moją żoną. Co ciekawe, Kamila tak jak ja jest po pedagogice. Pan Bóg tak nami pokierował, że się spotkaliśmy i teraz razem planujemy życie. Będziemy mogli wspólnie zrealizować moje marzenie. Prowadzić dom opieki dla bezdomnych dzieci i samotnych starszaków. A po pracy będę Kamili grał na pianinie. Mogę też na trąbce, saksofonie czy keyboardzie.

Gdy studiowałem w Krakowie, na plantach ćwiczyłem granie na trąbce. Kiedyś podeszło do mnie rozbawione towarzystwo i zapytali, czy mogę zagrać sto lat, bo ktoś z nich miał urodziny. Nawet chcieli mi za to zapłacić. Kamila już słyszała, jak gram, i nawet jej się podobało, a to znaczy, że nie gram tak źle, jak myślę.

Jestem przekonany, że w moim przypadku nasze chińskie przysłowia się sprawdzają. Jeśli nie wszystkie, to na pewno te dwa. „Jeśli to nie przeznaczenie, to nawet jeśli dwoje się spotka, nie zaznajomią się”. „Kto nie myśli o jutrze, będzie miał kłopoty, zanim dziś się skończy”. ■



...Wólka Kosowska  
była moim  
przeznaczeniem



# Stońce na talerzu

Pomarańczowe, pachnące, z lekkim rumieńcem i aksamitną skórką. Brzoskwinie i morele spadają już z drzew. Są jednymi z najsmaczniejszych owoców. Pełne witamin i soków skrywają w sobie wszystkie skojarzenia ciepłego dnia.

Ich wykorzystanie w kuchni jest wszechstronne. Stanowią składnik pysznych soków, powstają z nich koktajle i wytrawne nalewki, można je dodawać do sałatek i na ich bazie tworzyć sosy do mięs. Znakomicie smakują jako dodatek do przeróżnych ciast, placuszków i naleśników. Podawane na ciepło idealnie komponują się na grzance z kozim serem i w pucharku z zimnymi waniliowymi lodami. I jeszcze te dżemy i powidła na jesienne wieczory. Nie może być inaczej. Dziś w menu...



## **CIASTO FRANCUSKIE Z TWAROŻKIEM I BRZOSKWINIAMI**

### SKŁADNIKI

4 miękkie, dojrzałe brzoskwinie, gotowe ciasto francuskie, 250 g twarogu śmietankowego, cukier wanilinowy lub kilka kropel ekstraktu w wanilii, 3 łyżki cukru, pół szklanki cukru pudru, 1 żółtko, łyżeczka skórki z cytryny, łyżeczka soku z cytryny, mąką do posypania

Brzoskwinie pokrój na grubsze półksiężyce. Twaróg utrzyj z żółtkiem, skórką z cytryny, cukrem i cukrem wanilinowym (lub dodaj kilka kropel ekstraktu z wanilii). Na obsypanym mąką blacie rozłóż ciasto i odetnij z niego rogi tak, aby powstał długi prostokąt z obciętymi rogami. Ciasto oprósz mąką i na długości środka ciasta rozłóż ser. Na serze poukładaj półksiężyce z brzoskwiń. Po obu stronach brzoskwiń powinno pozostać ciasto, które teraz ponacinaj, ale nie do samych brzegów. Zawij ciasto na serze z brzoskwiniami. Posmaruj całość roztrzepanym jajkiem wymieszanym z łyżką wody. Piecz w piekarniku nagrzanym do 200 stopni przez pół godziny lub do czasu, aż ciasto nabierze złotego koloru. Kiedy ostygnie, z cukru pudru i soku z cytryny przygotuj lukier i oblej nim ciasto. W porze zimowej, gdy nie będzie już świeżych brzoskwiń, równie dobrze sprawdzą się te z puszek w słodkim syropie.



## MORELOWY KOKTAJL

### SKŁADNIKI

300 g świeżych moreli, 1 l mleka, pudełko lodów waniliowych, 2 łyżki cukru

Morel umyj i usuń z nich pestki. Wrzuć do miksera i zmiksuj z mlekiem. Jeśli są mało słodkie, dodaj dwie łyżki cukru. Przelej do pucharków i do każdego dodaj trzy gałki lodów waniliowych. Udekoruj świeżymi owocami.



## MORELE TYLKO DLA DOROSŁYCH

### SKŁADNIKI

50 dag moreli, 50 dag cukru, 1 l spirytusu, 2 szklanki wody

Umyj i osusz morele. Owoce przekrój na pół i wyjmij pestki, których nie wyrzucaj. Pestki dokładnie zmiążdż. Z cukru i jednej szklanki wody ugotuj syrop. Wrzuć do niego zmiążdżone pestki i połówki moreli. Wszystko doprowadź do wrzenia i odstaw do następnego dnia. Na drugi dzień przecedź syrop przez wyłożone gazą sitko i przelej do gąsiorka. Dolej spirytus i drugą szklankę wody. Lekko zamieszaj i odstaw w ciepłe miejsce na trzy miesiące. Po tym czasie przefiltruj nalewkę przez bibułkę, rozlej do butelek i zakorkuj. Poczekaj jeszcze trzy miesiące i próbuj.



## SALATKA ZE SZPINAKIEM I GRILOWANYMI BRZOSKWINIAMI

### SKŁADNIKI

2 dojrzałe brzoskwinie, małe opakowanie szpinaku, 1/2 szklanki borówek amerykańskich, łyżka płatków migdałowych lub orzeszków piniowych, 80 g ulubionego sera pleśniowego lub koziego

**DRESSING:** 4 łyżki oliwy, łyżeczka miodu, 2 łyżki białego octu winnego, sól i pieprz do smaku

W kubeczku połącz wszystkie składniki na dressing. Umyj brzoskwinie, wyjmij z nich pestki, a owoce pokrój w półksiężycy. Każdy z półksiężyców posmaruj dressingiem i ułóż na rozgrzanej patelni, żeby się przyrumienił. Pozostaw do ostygnięcia. Opłucz liście szpinaku i rozłóż na półmisku. Na wierzch poukładaj brzoskwinie. Pokrusz ser pleśniowy lub koziego i dodaj do salatkę. Wszystko obsyp borówkami i migdałowymi płatkami lub uprażonymi orzeszkami piniowymi. Oblej pozostałym dressingiem.

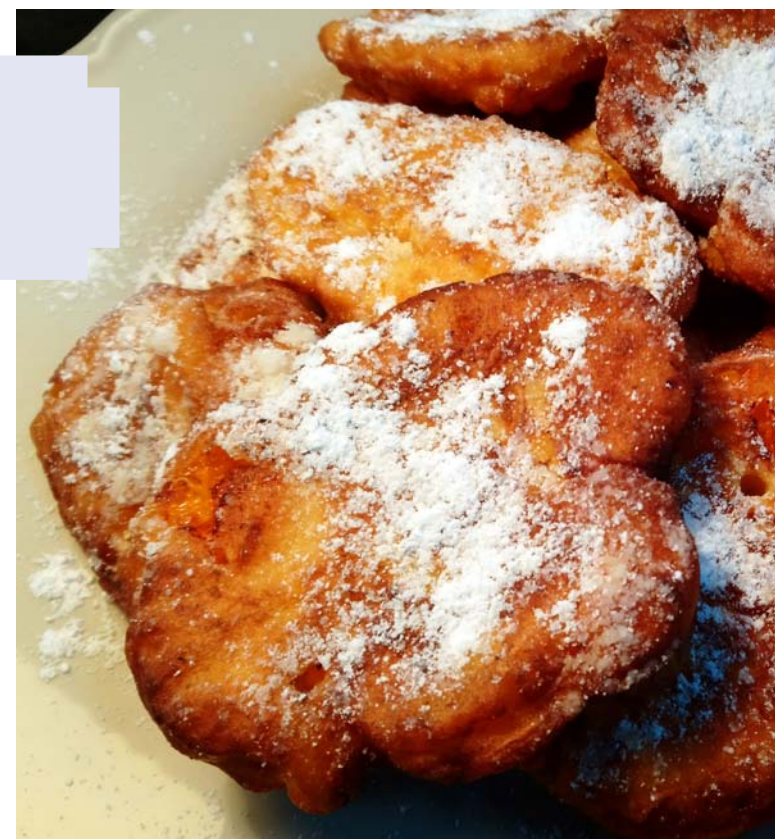


## PLACUSZKI Z MORELAMI

### SKŁADNIKI

500 g moreli, 350 g mąki, 3 jajka, 2 szklanki kefiru lub zsiadłego mleka, łyżeczka proszku do pieczenia, olej do smażenia, cukier puder

Mąkę przesiej do miski i wlej kefir. Wbij żółtka i zmiksuj. Z białek ubij na sztywno pianę. Dodaj do ciasta. Wsyp proszek do pieczenia i wszystko delikatnie zamieszaj. Odstaw na 15 minut. Morele przekrój i usuń z nich pestki. Każdą połówkę owocu obierz ze skórki i pokój w plasterki. Dodaj do ciasta i wymieszaj. Ciasto nakładaj łyżką na rozgrzaną na patelni olej i smaż, aż placuszki nabiorą złocistego koloru. Przełóż na papierowy ręcznik, by ociekły z tłuszczu. Oprósz cukrem pudrem.





A lush garden scene featuring a pond in the foreground. The water is dark and reflects the surrounding greenery. In the mid-ground, there are large, vibrant green ferns and hosta plants with broad, light green leaves. Several purple flowers, likely hostas, are in bloom, some on tall stems reaching towards the top of the frame. The background is filled with dense foliage and trees, creating a sense of a deep, shaded garden.

## Narcyz

*„Nad sadzawką oprawną w modre rozmaryny  
klęczałem, zapatrzony w moją twarz młodzieńczą,  
by się w niej doszukać przyczyny,  
czemu mnie nie kochają i za co mnie męczą?”*

*Maria Pawlikowska-Jasnorzewska*